Nr. 12 CENA 30 GR. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. ROK I

STER

TYGODNIK ŻYDOWSKI DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA
Królewska 29A, tel. 301-62
skrz. poczt. 113
KONTO P. K. O. Nr. 4.043

Godziny przyjęć: codziennie prócz sobót i niedziel — Redakcji 11.—13. Administracji 17—19.

Rękopisów nie zwraca się.

Numer zamyka się w środę

OD REDAKCJI

REDAKTOR „STERU", DR. MOJŻESZ KLEINBAUM, WYJECHAŁ NA PARĘ TYGODNI DO PALESTYNY, GDZIE WEŹMIE UDZIAŁ W JEROZOLIMSKIEJ SESJI WYKONAWCZEGO KOMITETU SYJONISTYCZNEGO (A. C.), JAKO PRZEDSTAWICIEL ORGANIZACJI SYJON. W POLSCE.

DR. KLEINBAUM BĘDZIE NADSYŁAŁ SWOJE LISTY Z PODRÓŻY DO „STERU". PIERWSZY LIST — DZIŚ W NUMERZE.

25 kwietnia 1937 WARSZAWA 14 jiar 5697

Dr. M. KLEINBAUM

Kadłubowe państwo żydowskie czyli trzeci rozbiór Palestyny?

Na statku włoskim „Galilea", płynącym z Triestu do Haify, jest nas 10-ciu członków Komitetu Wykonawczego (A. C.) Światowej Organizacji Syjonistycznej.

Wszystkie cztery wielkie partie są w tej dziesiątce reprezentowane: robotnicza, grupy A i B ogólnych syjonistów, oraz Mizrachi. Jesteśmy delegowani z różnych krajów: z Polski, z Niemiec, z Anglii, z Belgii. Jadą razem z nami: członek Egzekutywy Agencji Żydowskiej, dr. Hexter, i podsekretarz Egzekutywy dla spraw emigracji, M. Szapiro, którzy wracają z Ameryki do Jerozolimy. Nic tedy dziwnego, że nasze rozmowy przybierają często charakter dyskusji przedwstępnej nad sprawami, stojącymi na porządku dziennym tegorocznej sesji A. C., która nas właśnie wszystkich razem tu sprowadziła.

Ośrodek zainteresowania stanowi, oczywiście, sytuacja polityczna Palestyny. W maju, zaraz po uroczystościach koronacyjnych w Londynie, spodziewane jest ogłoszenie raportu i wniosków Komisji Królewskiej. Nikt naprawdę nie wie, jakie to będą wnioski. Komisja lorda Peela pracuje cały czas z zachowaniem rzadko spotykanej bezwzględnej dyskrecji, i nic, literalnie nic, nie przedostaje się z jej rozpraw na zewnątrz. Tym większą sensację wywoływać musiały, szerzone ostatnio przez prasę angielską, pogłoski o projektach podziału Palestyny na kantony arabskie, żydowskie i mieszane, lub na dwa odrębne organizmy państwowe, żydowskie dominium i arabski emirat Abdullaha. Półurzędowy organ Colonial Office, „Great Britain and the East", zaleca rezerwę wobec tych pogłosek, nie ze względu na ich nieprawdopodobieństwo, lecz ze względu na ich źródło: są to bowiem przypuszczenia, a nie wiadomości. Jedno jest tylko wiadome z całą pewnością — że orzeczenie Komisji będzie radykalne i wyraźne. Odmiennie brzmi komentarz londyńskiego korespondenta „Frankfurter Zeitung", który lansowane przez gazety angielskie pogłoski uważa za balon próbny, swiadomie puszczony przez lorda Peela celem wysondowania opinii żydowskiej, arabskiej, brytyjskiej i międzynarodowej. Tak czy owak, pogłoski te stanowią najczęstszy temat naszych rozmów i pogawędek, a zanim otrzymamy informacje źródłowe i odpowiedzialne ze strony politycznych reicrentów naszej Egzekutywy, operujemy z konieczności domysłami i szczegółami hipotetycznymi.

Trzy są możliwe koncepcje w łonie Komisji Królewskiej:

a) stanąć na stanowisku żydowskim, że brzmienie mandatu niedwuznacznie obowiązuje W. Brytanię do popierania ciągłego i swobodnego rozwoju Żydowskiej Siedziby Narodowej w Palestynie, że sytuacja żydostwa w wielu krajach i zaostrzony kurs antysemicki wymagają przyśpieszenia tempa kolonizacji syjonistycznej, że wreszcie żaden kompromis na nic się nie zda, bo nacjonaliści arabscy nie zadowolą się samym tylko ograniczeniem tempa żydowskiego „marszu na Palestynę", lecz nadal domagać się będą całkowitego zatrzymania tego marszu, należy zatem umożliwić mosową imigrację Żydów i zdecydowanie odrzucić wszystkie roszczenia arabskie;

b) stanąć na stanowisku arabskim, że mandat jest niewykonalny z powodu oporu ludności tubylczej, która nie życzy sobie zmiany charakteru kraju z arabskiego na żydowski, i dlatego należy zamknąć wrota Palestyny dla imigrantów żydowskich i uznać dzieło kolonizacyjne syjonistów za skończone a cel mandatu za rzekomo już osiągnięty, w przeciwnym bowiem razie bunty i gwałty arabskie nie ustaną, a zdławić ich siłą nie można ze względu na reperkusje w świecie muzułmańskim, od którego polityka kolonialna W. Brytanii jest tak bardzo zależna, zwłaszcza wobec aktywizacji imperializmu włoskiego;

c) znaleźć wyjście kompromisowe, które umożliwi syjonistom kontynuowanie imigracji i kolonizacji, a zarazem zaspokoi niektóre ambicje nacjonalistów arabskich, — nie wywoła to wprawdzie entuzjazmu ani po jednej, ani po drugiej stronie, ale będzie to o tyle wyjście sprawiedliwe, że nie będzie po żadnej ze stron powodu do protestów, do wrzenia i aktów rozpaczy.

Z góry można było przewidzieć, że zgodnie z psychologią i tradycyjną polityką angielską komisja lorda Peela pójdzie po linii tej trzeciej koncepcji — po linii kompromisu. Pogłoski o podziale Palestyny supozycję tę zdają się potwierdzić. Trzeba, żeby żydowska opinia publiczna wiedziała, że nie grozi nam w żadnym razie katastrofa, grozi nam natomiast — kompromis.

Orientacji muzułmańskiej i proarabskiej przeciwstawia się bowiem w dość licznych kołach politycznych Londynu druga orientacja, która widzi w Arabii sojusznika niepewnego, skłonnego do zdrady i służenia mocarstwom wrogim polityce brytyjskiej za cenę obietnic i subwencyj, i ta właśnie orientacja nakazuje wydzielić z arabskiego półwyspu palestyński kraj nadmorski, tak ważny dla brytyjskich interesów strategiczno-wojskowych i komunikacyjno-gospodarczych celem osiedlenia w nim ludności, która zmuszona będzie grawitować ku Anglii, ile-że zawsze znajdować się będzie w położeniu antagonistycznym do ewentualnej przyszłej federacji państewek arabskich; orientacja ta wskazuje na przykład Syrii, z której Francja wydzieliła ważny dla jej interesów Libanon pod pretekstem, że nie można wtłoczyć jego chrześcijańskiej ludności do muzułmańskiego państwa arabskiego, — tak samo polityka angielska na Bliskim Wschodzie dążyć winna do stworzenia analogu do chrześcijańskiego Libanonu w postaci żydowskiej Palestyny. Ostatnie posunięcia faszyzmu włoskiego i mowa afrykańska Mussoliniego, który ogłosił się protektorem islamu, z jednej strony wzmocniły orientację proarabską, wskazującą na konieczność licytowania się z Włochami w akcji zyskania sympatyj mahometan a z drugiej strony dostarczyły orientacji prosyjonistycznej ważkiego argumentu, gdyż na wypadek zbrojnego konfliktu Arabowie istotnie mogą się związać z Rzymem, który ponad wszelką wątpliwość wspierał także irredentę arabską w Palestynie. Trudno sobie wyobrazić, by rząd angielski zdobył się na konsekwentne i stuprocentowe zastosowanie jednej z tych dwóch orientacyj,, będzie najpewniej nadal lawirował pomiędzy nimi, dając przewagę to jednej, to drugiej, zależnie od chwilowej koniunktury, i tak napewno też wypadnie kompromisowo decyzja Komisji Królewskiej.

Pogłoski o podziale Palestyny to jedna z przypuszczalnych form kompromisu. Jak do niej się ustosunkować? — Przede wszystkim należy odróżnić pomysł kantonów od pomysłu podziału na dwa państwa. Kantonizacja w ogóle nie wydaje się być wyjściem kompromisowym, bo zostawia otwartą sprawę kantonów mieszanych i niedostatecznie zaludnionych, nie zawierając w sobie odpowiedzi na zagadnienie dalszej imigracji i kolonizacji żydowskiej w tych właśnie kantonach, a co najwyżej daje pewien samorząd kantonom zdecydowanie żydowskim i zdecydowanie arabskim. Wszystkie cechy kompromisu nosi natomiast pomysł stworzenia dominium żydowskiego z przeważnej części Cis-jordanii, a połączenia jej reszty z Transjordanią w jeden emirat czy królestwo Abdullaha. Jest to atoli kompromis zły. Byłby to już trzeci rozbiór Palestyny w czasach najnowszych. Już w roku 1916 układ Sykes—Picot'a o podziale angielskiej i francuskiej sfery wpływów oddał Syrii najbardziej północną część Galilei, i ledwo udało się to osiągnąć, że część obszaru Hule aż po Metullę pozostała przy Palestynie. Następnie w roku 1922 Biała Księga Churchilla odłączyła — celem uspokojenia Arabów i „zaopatrzenia" trzeciego syna Fajzula w tron — Transjordanię od Palestyny wbrew wszelkiej logice i wbrew prawom historycznym, politycznym i ekonomicznym. Nie uspokoił jednak Arabów ten podział Palestyny, a mimo to przygotowuje się teraz już trzeci podział—1937 roku. Wprawdzie teraz żydowska część miałaby pozostać pod panowaniem wyłącznie żydowskim, ale trudności gospodarcze takiego sztucznie uszczuplonego państewka byłyby ogromne, przy tym pozostałyby po odbydwu stronach mniejszości, które trudno byłoby polecić jedynie traktatowej ochronie, a wzajemna wymiana byłaby natomiast zbyt kosztowna i uciążliwa. Poza tym takie kadłubowe państewko żydowskie, w dodatku bez Jerozolimy, symbolu żydowskich praw historycznych, praw narodu żydowskiego do Palestyny (Jerozolima byłaby wyłączona z podziału) nie zaspokoi dążeń politycznych syjonizmu. Nade wszystko zaś w tak szczupłych granicach nie sposób rozwiązać zagadnienia imigracji żydowskiej, pojemność kraju pomniejszyłaby się bowiem z 5—7 milionów (przy gęstości zaludnienia Belgii) do 2—3 milionów. W zestawieniu z tymi argumentami blednie argumentacja oportunistyczna, która podnosi: wielkie znaczenie moralne stworzenia choćby lilipuciego państwa żydowskiego z przedstawicielstwem w Lidze Narodów i z poselstwami we wszystkich krajach żydowskiego rozproszenia; możliwość szybkiej imigracji i kolonizacji około 2 milionów Żydów z Polski, Niemiec i Rumunii; perspektywa stopniowej penetracji do sąsiedniego państwa arabskiego po nasyceniu własnego terytorium wskutek gospodarczego rozkwitu nadmorskiego kraju żydowskiego przy łatwej do przewidzenia stagnacji kraju arabskiego na nader niskim poziomie cywilizacyjnym.

Oficjalni politycy syjonistyczni wypowiedzieli się dotychczas przeciw koncepcji państwa kadłubowego, a poparła ich zgodnym chórem cała niemal prasa żydowska. Trzeźwi wśród nas podnoszą jednak, że przy każdym podziale rozstrzygającym momentem jest — GRANICA: jeśli np. z Palestyny miałby być wyłączony tylko słynny trójkąt arabski Nablus-Dżenin-Tulkerem, to sprzeciw z naszej strony nie powinien być zbyt wielki. Ale nie w tym kierunku idzie „linia generalna" naszej dyskusji okrętowej, która może wszak służyć za zapowiedź i miniaturę wielkiej dyskusji na Actions-Committee. Przeważa na pokładzie „Galilei" opinia, że sesja A. C. nie może poprzestać na odrzuceniu tej czy innej koncepcji cudzej, ale winna wysunąć koncepcję własną. Nie wszyscy godzą się z tym, że ta żydowska koncepcja powinna w ogóle przejść do porządku dziennego nad aspiracjami arabskimi. Właśnie ze strony syjonistów niemieckich, znanych ze swego oportunizmu politycznego, wysunięta została koncepcja bardzo śmiała i odważna. Kolonizację żydowską i mandat należy rozciągnąć także na Transjordanię, która zostałaby z powrotem połączona w jedną całość z Palestyną. W ramach tak wielkiego terytorium i zaniedbanych dotychczas a ogromnych wartości gospodarczych Transjordanii łatwo rozwiąże się kwestię żydowskiej imigracji. Ażeby zaś uzyskać zgodę Arabów należy im zapewnić udział w przyszłym wspólnym państwie: ZAMIAST SUWERENNEJ WŁADZY KAŻDEJ ZE STRON W PODZIELONYM KRAJU — PODZIELONA WŁADZA W ROZSZERZONYM, OBSZERNYM LECZ WSPÓLNYM KRAJU. Koncepcja ta wysuwa więc na nowo słynną kwestię parytetu politycznego żydowsko-arabskiego w wielkiej Palestynie. Nie ulega wątpliwości, że koncepcja taka miałaby na A. C. namiętnych zwolenników i przeciwników.

Inni spośród nas zaprzątnięci są szukaniem środków politycznego nacisku na Wielką Brytanię. Orzeczenie Komisji Królewskiej to nic ostatecznego. Rozstrzygnie przecież rząd londyński, zależny od parlamentu, a w parlamencie — i w izbie gmin i w izbie lordów — syjonizm ma więcej przyjaciół, niż przeciwników. Nie bez wpływu jest też Liga Narodów, formalnie najwyższa władza nad Palestyną. Wobec osłabienia jednak Ligi i jej zależności od Londynu wagi specjalnej nabiera układ między W. Bryt. a St. Zj. A. P, z maja 1922, który czyni z Ameryki jakby gwaranta mandatu palestyńskiego. Wpływ Ameryki na Europę wzmaga się ostatnio z każdym dniem. Oczy Londynu zwrócone są obecnie ku Białemu Domowi bardziej jeszcze, niż w 1925 r., gdy Mac Donald zawarł przyjaźń z Hoover'em. A sprawa syjonizmu ma w Ameryce w ogóle, a w Białym Domu szczególnie wiernego i energicznego przyjaciela. Stąd myśl zwołania XX Kongresu Syjonistycznego do Waszyngtonu. Rutyna biurokratyczna ciągnie organizatorów Kongresu do Bazylei (zresztą jubileuszowy XX kongres w jubileuszowym roku 1897—1937 w mieście pierwszego kongresu — Bazylei!), ale kongres w Waszyngtonie to byłaby demonstracja polityczna dla żydostwa i syjonizmu pierwszorzędnej wagi. Przeciwnicy tego wniosku, wysuniętego przez amerykańską organizację syjonistyczną, twierdzą, że w Londynie taki akt demonstracyjny byłby źle widziany. Toteż przeważa u nas opinia, że decyzję należy uzależnić od raportu Komisji Królewskiej, a w wypadku, jeśli raport ten wypadnie dla syjonizmu niepomyślnie, nie należy więcej się liczyć z subtelnym odczuciem Londynu i skorzystać z tego środka nacisku. Podobno Stephan Wise, który nie może wziąć osobistego udziału w nadchodzącej sesji jerozolimskiej, drogą telefoniczną zapozna A. C. ze swym stanowiskiem.

Różne mamy kłopoty, różne nadzieje. W pierwszym rzędzie jednak musi się naród żydowski sam zorganizować dla obrony swych praw do Palestyny, do niezawisłego wolnego bytu narodowego. Miliony Żydów, posiadających szekel, tę tradycyjną legitymację syjonistyczną, to największa siła polityczna, to najmożniejszy nasz protektor. O tym winni pamiętać głównie Żydzi polscy, tak żywotnie z losem Palestyny związani.

Na tym stwierdzeniu i apelu zarazem przerwiemy ten pierwszy list z podróży. Już zbyt długo trwa ta nasza pogawędka na odległość, no i okręt już zbliża się do pierwszego po drodze portu.

Brindisi, 15 kwietnia 1937.

Leopold Halpern

Non possumus!

Jeszcze w ubiegłym tygodniu brytyjski minister kolonii, w odpowiedzi na zapytanie w Izbie Gmin, stwierdził, że termin ogłoszenia sprawozdania Komisji Królewskiej nie jest dotąd ustalony — a już pełno jest pogłosek o sensacyjnych projektach rozwiązania sprawy palestyńskiej, wysuwanych rzekomo przez lorda Peela i towarzyszy. Tym razem pogłoski te, aczkolwiek nad wyraz dziwne i fantastyczne, nie wydają się być tylko produktem osławionej fantazji orientalnej naszych palestyńskich sąsiadów. Jeśli nawet nie pokrywają się one całkowicie z rzeczywistymi wnioskami i zaleceniami komisji Peela — to w każdym razie wyglądają na próbny balon, wypuszczony dla badania albo wywoływania nastrojów w przededniu ogłoszenia oficjalnych sprawozdań.

A mówi się tym razem o rzeczach nie lada jakich, lansuje się pomysły na prawdę rewelacyjne. Bo proszę tylko posłuchać: pragnie się nas, Żydów, już teraz, kiedy jeszcze stanowimy w Palestynie mniejszość, obdarzyć własnym kantonem — dominium — państewkiem. A jakże! Z członkostwem Ligi Narodów i z własną reprezentacją w jej Zgromadzeniu, z własną administracją cywilną, własną policją i chyba też wojskiem, z własnymi ambasadorami, posłami i konsulami na całym świecie! Kto jak kto, ale nasi rewizjoniści mogą być tym razem dumni z siebie i z politycznej przenikliwości swojego „wodza". To przecież oni od lat doma gają się ustanowienia państwa żydowskiego *już teraz*, kiedy nie mamy w Palestynie większości i nie przeważamy jeszcze pod każdym względem w kraju — a oto proponuje się im właśnie taką „suwerenność" na wąskim pasku terytorium, ciągnącego się wzdłuż... nadmorskich plaż palestyńskich; to właśnie oni propagują koncepcję VII dominium — a oto obdarza się ich takim dominium, co powstać ma w wyniku rozkrajania na części żywego ciała *naszego* Kraju. Ale trudno: rewizjoniści nie pierwszy już raz mają takie szczęście, gdy chodzi o realizowanie się ich koncepcji. Tak było już przecież przed kilku laty, gdy w odpowiedzi na *ich* postulat wprowadzenia w Palestynie „regime'u kolonizacyjnego", ekspert rządowy sir John Hope-Simpson opracował dokładne plany... kolonizowania Arabów przez państwo. Gdyby więc szło tylko o rewizjonistów i fiasco ich politycznych „pomysłów" — cała rzecz nie zasługiwałaby na poświęcenie większej uwagi.

Niestety tym razem sprawy są znacznie poważniejsze.

Albowiem chodzi tu o niebezpieczeństwo zagrażające samym podstawom dzieła urzeczywistniania syjonizmu, a pośrednio także realizacji tych wielkich nadziei narodowo-wyzwoleńczych, które z jego zwycięstwem łączymy. Pod osłoną czarodziejskiego słowa „państwo" czy „dominium" żydowskie, za cenę złudnego blichtru zewnętrznych akcesoriów reprezentacyjnych projektowanego mikro-państewka — *pragnie się przeprowadzić drugi rozbiór Palestyny!* (Pierwszy rozbiór naszego kraju miał miejsce dnia 16 września 1922 r., kiedy Rada Ligi Narodów uchwaliła na wniosek Anglii, że postanowienia Mandatu, dotyczące „National Home", nie rozciągają się na Transjordanię, pierwsze żydowskie terytorium historyczne, kraj obszerny, żyzny i słabo zaludniony, rezerwuar nieograniczonych możliwości kolonizacyjnych!) Dziś ograniczanie rozmiarów odbudowy Żydowskiej Siedziby Narodowej zamierza się doprowadzić do absurdu: Palestynę przedjordańską, stanowiącą ledwo ⅓ terytorium historycznego naszego kraju pragnie się dalej dzielić i krajać na dwa czy też trzy „kantony", z których kanton żydowski miałby, jak słychać, obejmować aż... ¼ terytorium Przedjordanii!

Co właściwie mają znaczyć podobne „projekty"? Do kategorii poważnych pomysłów politycznych w żadnym razie nie można ich zaliczyć. Więc chyba kpiny, cyniczne szyderstwa z naszej jedynej nadziei narodowej — albo jakieś tam próbne balony zabłakanych i błądzących „reformatorów" politycznych?!

W pierwszym wypadku — gra toczy się o zbyt wysoką stawkę, związane są z nią zbyt poważne nadzieje, aby było miejsce na liche karnawałowe pomysły. W drugim zaś wypadku cała kosztowna i hałaśliwa impreza puszczania próbnych balonów, jeśli chodzi o stronę żydowską, jest zupełnie zbędna, albowiem *na punkcie zdecydowanie negatywnego ustosunkowania wobec „projektów", podcinających wszelką możliwość syjonistycznego rozwiązania kwestii żydowskiej, nie ma wśród nas żadnych różnic.*

Podkreślamy to z całym naciskiem: ograniczenie terytorialnego zasięgu Żydowskiej Palestyny do tej tylko części, która już obecnie została dla narodu żydowskiego wyzwolona, zatrzymanie liczebnego wzrostu ludności żydowskiej Palestyny w granicach, nie wiele przekraczających naszą obecną liczebność, słowem zahamowanie rozwoju Żydowskiej Siedziby Narodowej na stopniu, który rozwój ten dotąd osiągnął — *oznaczać będzie całkowite przekreślenie podstawowych celów syjonizmu.* Oznaczać to będzie także i wtedy, jeżeli rekompensatą za rozbiory i zatrzymanie procesu rozbudowy — będą nawet rzeczy tak bardzo pozornie ponętne, jak prestige niezależności politycznej w granicach brytyjskiego systemu dominialnego. My, syjoniści, zdajemy sobie dobrze sprawę z politycznej i moralnej doniosłości posiadania własnej państwowości dla żydostwa całego świata, dla jego pozycji politycznej i narodowego prestige'u. Ale uzyskanie samych tylko form państwowych czy też raczej quasi - państwowych bez terytorium, któreby stanowiło rzeczywistą bazę dla osiedlenia milionów Żydów, ich socjalnej przebudowy i narodowo-kulturalnego odrodzenia — *nie ma nic wspólnego z syjonizmem.* Dążąc do ideału państwa żydowskiego, syjonizm pragnie przede wszystkim stworzyć żywy, twórczy i wielki organizm żydowski w Palestynie, ukoronowaniem czego będzie ostateczne nadanie mu form państwowych.

Otóż projekt rozbioru Palestyny i ograniczenia do absurdalnego minimum terenu, na którym będziemy mogli kontynuować nasze dzieło, oznaczałoby wzniesienie potężnej zapory na drodze do urzeczywistnienia naszego ideału, i dlatego — *jest dla nas nie do przyjęcia.* Ostrze jego godzi bezlitośnie w naród żydowski na całym świecie, przede wszystkim zaś w żydostwo diaspory, znaczne części którego związały przyszłość swoją i nadzieję z masową emigracją do Palestyny. Toteż, gdy nadejdzie chwila decydującej rozgrywki, gdy przyjdzie rzucić na szalę sprawy żydowskiej wszystkie nasze polityczne atuty — Żydzi diaspory, wypierani, pauperyzowani i prześladowani, staną murem przeciw lekkomyślnym a fatalnym w skutkach zakusom na całość terytorialną Palestyny — naszej przyszłej, prawdziwej Siedziby Narodowej.

Odpowiedź żydowska jest równie krótka, jak niezłomna: *nie, nie i nie!* Inaczej nie możemy.

WYDARZENIA I ODGŁOSY

Kapłan katolicki o syjonizmie

W odbytym w ubiegłym tygodniu pierwszym locie pasażerskim z Polski do Palestyny wziął także udział ks. **Zygmunt Kaczyński,** jako reprezentant Katolickiej Agencji Prasowej. Po powrocie z trzydniowego pobytu w Ziemi Świętej ks. Kaczyński ogłosił w **„Kurierze Warszawskim"** swoje wrażenia, pisząc z dużym obiektywizmem i uznaniem o dziele żydowskim w Palestynie:

„Jak wiadomo, od czasów Herzla, t. j. mniej więcej od lat 50, Palestyna stała się przedmiotem ogromnego zainteresowania Żydów, a zwłaszcza organizacji syjonistycznych. Naród bezdomny, rozrzucony po całym świecie, postanowił odbudować swą dawną siedzibę i stworzyć własne państwo (Erec Izrael). Zebrano ogromne fundusze, wyprawiono do Palestyny tysiące kolonistów żydowskich rozpoczęto ciężką pracę doprowadzenia od tysięcy lat nieuprawianych terenów do stanu kultury rolnej. Zwiedzając Tel-Awiw oraz gospodarstwa rolne, mogę stwierdzić, że pieniądze nie poszły na marne. Stolica dzisiejszego żydostwa w Palestynie, Tel-Awiw, licząca obecnie około 160 tysięcy mieszkańców, powstała nie spełna 30 lat temu i została rozbudowana w ostatnich latach w iście amerykańskim tempie. Miasto jest ośrodkiem politycznym, handlowym i kulturalnym społeczeństwa żydowskiego. Zarówno urzędowym, jak i potocznym językiem ludności jest język hebrajski. Prawie wszędzie można jednak porozumieć się i po polsku. Spotkałem chłopca, który, pochodząc z Niemiec, nauczył się w Palestynie jezyka polskiego.

Tak się zdarzyło, że w dniu przybycia mego do Tel-Awiwu odbywało się przyjęcie izby palestyńskiej, wydane na cześć nowego konsula polskiego p. Hulanickiego. Wysłuchałem przemówień około 10 przywódców społeczeństwa żydowskiego, podkreślających w swych mowach trudną sytuację Polski, w której zamieszkuje przeszło3 milionowa rzesza Żydów, i stwierdzających pragnienie pójścia na spotkanie dezyderatom rządu polskiego w sprawie emigracji Żydów z Polski. Jeden z mówców nadmienił, że Palestyna może jeszcze pomieścić dwa miliony emigrantów żydowskich. Inny dowodził im, że Palestyna przyjąć może więcej emigrantów z Polski. W każdym bądź razie zrozumienie dla kwestii żydowskiej w Polsce wśród działaczy żydowskich w Palestynie jest większe, aniżeli wśród przywódców żydowskich w Polsce"

Wrażenia palestyńskie katolickiego kapłana są dla nas sympatycznym dowodem wzrostu zrozumienia coraz liczniejszych sfer społeczeń. polskiego dla celów, dotychczasowych rezultatów i doniosłości syjonizmu. Nie możemy jednak zgodzić się w zupełności z niektórymi uwagami ks. Kaczyńskiego na temat emigracji żydowskiej, poczynionymi zresztą tylko na marginesie i jakby mimochodem. Ooż zarzut braku zrozumienia dla kwestii żydowskiej w Polsce oraz emigracji, jako **jednego z czynników** jej rozwiązania — nie może nas obciążać w żadnym razie, albowiem właśnie na łamach „Steru" staraliśmy się wielokrotnie „uczciwie i po męsku" omówić tę dla wielu drażliwą sprawę. Jeśli Ksiądz Redaktor wspomina, że na tel-awiwskim bankiecie ubolewano nad „trudną sytuacją Polski, w której zamieszkuje przeszło 3 milionowa rzesza Żydów", to my pozwolimy sobie zwrócić uwagę, że społeczeństwo żydowskie w Palestynie, przy całej naturalnej sympatii dla Polski, ubolewa przede wszystkim właśnie nad obecnym ciężkim losem tych 3 milionów Żydów. Państwo bowiem nie może być „w trudnej sytuacji" z powodu posiadania 3 mil. obywateli „nawet", gdy obywatele ci są narodowości żydowskiej; państwo nie może też ułatwić sobie tej sytuacji przez propagowanie emigrowania Żydów, podobnie, jak chłopów, robotników czy jakiejkolwiek innej grupy ludności. Zadaniem państwa jest znalezienie dróg gospodarczego zatrudnienia ogółu swej ludności, a znajduje się ono „w trudnej sytuacji" nie z powodu przebywania w jego granicach tylu a tylu „zbytecznych" Żydów, ile właśnie dlatego, że na tle panującego kryzysu nie mogło dotąd znaleźć rozwiązania gospodarczej niedoli ogółu obywateli.

My to wszystko dobrze rozumiemy i dlatego (jak również na skutek całego kompleksu przyczyn kulturalnych i politycznych) walczymy o zdobycie możności masowej emigracji do Palestyny, naszej budującej się Siedziby Narodowej. Nasza **dobrowolna** emigracja nie może jednak mieć nic wspólnego z czyimkolwiek pomysłami **przymusowego** i godzącego w równouprawnienie żydowskie, ewakuowania.

„Wódz" Żabotyński o sobie

Palestyński **„Dawar"** podaje garść ciekawych szczegółów o wydanym ostatnio pierwszym tomie pism **Żabotyńskiego** w tłumaczeniu hebrajskim. Tom ten zawiera autobiografię autora, w której z niezwykłą szczerością stara się odmalować własną charakterystykę. Tak n. p. dowiadujemy się, że „duchowe dziedzictwo (ojca Ż.) po dziadku miało inny charakter—cechą jego była przesadna wrażliwość, granicząca z histerią, której objawy znalazłem u wielu, noszących moje nazwisko". Albowiem „mając lat 17, przejawiłem skłonność do paradoksów i pozy oraz do przesadnej zarozumiałości". i t. p.

Ale daleko ciekawsze od tych szczerych zwierzeń są niektóre opowiadania Ż.; albowiem, jeśli uważnie je przeczytamy, wówczas znajdziemy w nich klucz dla zrozumienia jego późniejszego życia i drogi. Weźmy dla przykładu sprawę pierwszego udziału Ż. w Kongresie Syjonistycznym: „Nie miałem jeszcze prawa uczestniczenia w nim, albowiem brakowało mi półtora roku do wymaganego cenzusu wieku. Nie pamiętam już kto to byli moi fałszywi świadkowie, którzy potwierdzili, że mam 24 lata. W korytarzach gmachu obrad Kongresu natknąłem się na pewnego młodego delegata, wysokiego i z czarną brodą — nazywał się on dr **Weizmann,** a mówiono mi, że stoi na czele „opozycji". Czułem od razu, że i moje miejsce jest wśród opozycji, chociaż nie wiedziałem jeszcze dlaczego. Toteż, gdy zauważyłem tego młodzieńca, siedzącego wraz z towarzyszami przy stoliku w kawiarni i prowadzącego ożywioną dyskusję, zbliżyłem się i zapytałem: „Czy nie przeszkadzam?" — „Przeszkadza" — odpowiedział Weizmann. Więc odszedłem. Starałem się dostać na trybunę Kongresu i przemawiać koniecznie w sprawie palącej. Począłem wywodzić — ale wnet połapano się na ławach opozycji ku czemu zmierza ten nikomu nieznany młodzieniec, przemawiający pięknym językiem rosyjskim, tak jakby deklamował wiersz na egzaminie gimnazjalnym — więc zaczęto hałasować i krzyczeć: „Dosyć! Nie trzeba więcej!" W przeydium powstało zamieszanie, a sam **Herzl,** zajęty w przyległym pokoju, usłyszał hałas, wszedł szybko na salę obrad i spytał się jednego z delegatów: „Kto to jest, co on mówi?" Przypadkiem delegatem tym był właśnie dr **Weizmann,** odpowiedział więc równie krótko, jak stanowczo: „Quatsch"."

Takim był „wódz" Żabotyński w młodości — takim pozostał na zawsze.

Tylko nie „galicyjskie wybory"!

Od dra **O. Spiry** z Krakowa, działacza obozu lewicy syjonistycznej, otrzymaliśmy następujący list, z prośbą o opublikowanie go na łamach „Steru":

„Przypuszczać należało, że po wyroku Sądu Kongresowego, który zapadł na XIX. Kongresie Syjonistycznym w sprawie akcji szeklowej i wyborczej, przeprowadzonej w Małopolsce Zachodniej, nie powtórzą się więcej te wszystkie nieuczciwości, krętactwa, szykany, jednym słowem, znane „galicyjskie" metody wyborcze, jakie miały u nas miejsce przed dwoma laty. W wspomnianym wyroku czytamy m. inn. takie słowa: „Wybory w Zachodniej Małopolsce są typowym przykładem . tego, jak wyborów przeprowadzać nie należy... Nieprawidłowości rozpoczynają się już od rozdzielania bloczków szeklowych, mają miejsce później przy ukonstytuowaniu się Komisji Wyborczej i kończą się ogólnym chaosem przy wyborach... Sąd przyszedł do przekonania, że w szczególnej mierze zawiniły organy listy Nr. 1 (Związek Ogólnych Syjonistów)" i t. d...

W Małopolsce Zachodniej dzierżą prym ogólni syjoniści z pod znaku Weltverbandu (gruba B), toteż widocznie nie nie mogą się pozbawić tej satysfakcji, aby wyzyskać tę swoją władzę i przewagę w stosunku do syjonistycznej lewicy. Ktoś naiwny zapytałby się słusznie: co to wszystko ma wspólnego z syjonistyczną odpowiedzialnością. o której ogólni syjoniści z Małopolski tak często lubią wygłaszać kazania, jaką to porę wybrali sobie ci panowie, aby wyprawiać wątpliwej wartości harce na swoim podwórku? Gdzież poczucie chwili i konieczności manifestacyjnej, jednolitej, na wysokim poziomie prowadzonej akcji szeklowej? Gdzie słowa a... gdzie czyny?

Ogólni syjoniści spod znaku „Weltverbandu" nie umieją jednak, zdaje się, wysunąć głowy ze swojego ciasnego okienka i gotowi są raczej narazić całą akcję szeklową na szwank, aniżeli współpracować lojalnie z mniejszością, zabezpieczając jej prawa i dając jej gwarancję, że akcja szeklowa będzie prowadzona tym razem uczciwie. Blok Pracującej Palestyny zażądał od Ogólnych Syjonistów zapewnienia, że będzie miał udział w kontroli akcji szeklowej. Żądania te zostały przez Egzekutywę organizacji Ogólnosyjonistycznej odrzucone, na skutek czego Blok Pracującej Palestyny, który zdobył do XIX Kongresu 30% głosów, został wyeliminowany z akcji szeklowej. Delegaci Bloku Pracującej Palestyny nie weszli do Centralnej Komisji Szeklowej ani do Lokalnych Komisji i odwołali się do Centrlnych Władz Syjonistycznych w Jerozolimie, żądając dla siebie prawa zabezpieczenia obiektywnego przeprowadzenia akcji. Jak przed dwoma laty, tak i tym razem zawarli syjoniści układ z Mizrachi, aby zrobić wszystko, co może zaszkodzić syjonistycznej lewicy, bez względu na dobór środków. Tym razem jednak się przeliczyli, albowiem wyrok Sądu Kongresowego zaleca Egzekutywie podjęcie środków uniemożliwienia w przyszłości „galicyjskich wyborów", i nie ma mowy o tym, aby uznano wybory, w których nie może uczestniczyć część organizacji syjonistycznej.

Smutnym zaprawdę jest fakt, że Weltverband nie ma dzisiaj nic lepszego do roboty, jak wywoływanie walk wewnątrz obozu syjonistycznego i, że nie potrafi raz wreszcie przyzwyczaić się do metod współpracy, które nie kolidowałyby z szeroko pojętym interesem syjonistycznym i legalnością".

Publikując powyższy list na zasadach wolnej trybuny syjonistycznej, sądzimy że towarzysze zachodnio - małopolscy. bez względu na przynależność frakcyjną, uczynią wszystko, aby zlikwidować zbędne i szkodliwe konflikty wyborcze. Albowiem konsekwentna i uczciwa demokracja jest fundamentem naszego ruchu.

Apolinary Hartglas

Strusie i chłopczyk

Przede wszystkim, dla porządku, muszę zaznaczyc, że nie miałem jeszcze sposobności przeczytać broszury J. M. Borskiego, która narobiła tyle hałasu — zwłaszcza w sterach, lubiących krzyczeć o antysemityzmie, gdy ma się do czynienia z kimś kogo się obawiać nie ma potrzeby, a mizdrzących się do antysemitów, gdy są u władzy. Nie miałem też sposobności czytać odpowiedzi W. Altera w „Folkscajtung" na mój artykuł, stwierdzający, że p. Alter w swojej — skądinąd bardzo dobrej broszurze p. t. „Antysemityzm gospodarczy w świetle cyfr" — doszedł do jedynie logicznej z punktu widzenia obecnego Bundu koncepcji sui generis miejskiego syjonizmu, t. zn., że każde miasto i miasteczko w diasporze stanowi gospodarczo nieomal samodzielne terytorium żydowskie, samodzielny Syjon, naturalnie o wyłącznie miejskiej strukturze społecznej. Gotów jestem na niewidzianego zgodzić się z krytykami p. J. M. Borskiego, że wychodzi on z założeń asymilacyjno - żydowskiego antysemityzmu (jest i taki!), który pragnie emigracji mas narodowo-żydowskich, żeby wynarodowione pięknoduchy mogły się łatwiej i spokojniej asymilować. Ale nie mogę też odmówić słuszności i tym krytykom p. J. M. Borskiego, którzy głębiej i poważniej narodowo po żydowsku czują, niźli tamci, nadużywający zarzutu antysemityzmu i którzy przeto nie szafują tak tym słowem, a podchodząc ostrożnie i analizując bez uprzedzania, widzą w argumentacji p. J. M. Borskiego tylko doprowadzenie myśli socjalistycznej do pewnych logicznych konsekwencji. Słowem, może jedni mają rację, może drudzy — bo czytałem tylko krytyków, lecz nie krytykowanego. A co do artykułów p. W. Altera, to z góry zakładam, że są — jak zwykle — dobre, rzeczowe, i jeżeli dochodzą do odmiennych wniosków, niżby doszedł syjonista, to tylko dlatego, że zadaniem ich jest właśnie doprowadzić do wniosków, jakich życzyłby sobie Bund, nawet za cenę pewnych skoków logicznych, czy śmiałych uogólnień lub niedomówień. Trudno: si duo... dicunt idem, non est idem.

Przeto, nie wnikając w treść dowodów i argumentów zarówno p. J. M. Borskiego, jak i p. W. Altera — znanych mi tylko w cudzym, nie zawsze obiektywnym i nie zawsze dostatecznie przemyślanym oświetleniu — pozwolę sobie skreślić parę uwag na pokrewne tematy, biorąc jedynie asumpt z niektórych myśli przez nich poruszonych. Łączę tych dwu publicystów w danym wypadku — mimo że każdy porusza interesujący go temat samodzielnie — dlatego, że temat, który ja pragnę omówić, wiąże się zarówno z jednym, jak i z drugim.

My, syjoniści, wychodzimy z założenia, że rozproszony w diasporze naród żydowski nigdzie nie osiadł w tym sensie, w jakim osiadły inne narody, które wyzbyły się tęsknot i pamięci o poprzednich swoich ojczyznach. Przyszli z dalekich stepów azjatyckich Hunnowie; część ich pozostała w Europie, osiadła nad Cisą i Dunajem, zmieszała się z tubylcami i utworzyła naród węgierski. Węgrzy osiedli na roli, wrośli korzeniami w zdobytą ziemię, wytworzyli z czasem spośród siebie stan średni, mieszczaństwo, — potem klasę robotniczą — i oto mamy kompletny organizm społeczny węgierski ze wszystkimi klasami, ze wszystkimi warstwami. Przyszli do Hiszpanii ze wschodu Europy Wizygoci, podbili miejscowe szczepy, ale nie mieli tam takiej siły asymilacyjnej, jak Hunnowie na Węgrzech, i sami się rozpłynęli, znikli w masie miejscowych ludów, zlekka je tylko zabarwiwszy swoją kulturą. Ale wraz z nimi wsiąkli i w warstwę rolniczą i w powstałe następnie mieszczaństwo i łącznie już wytworzyli klasę robotniczą, — tylko że to byli już nie Wizygoci, a andaluzyjczycy, czy kastylijczycy lub katalończycy, a o Wizygotach pamiętają jedynie podręczniki historii. I tak się działo na przestrzeni wieków i w zasięgu narodów cywilizowanych ze wszystkimi ludami. Wyjątek stanowi jedynie nieliczny koczowniczy szczep tajemniczych cyganów i Żydzi. Cyganie zachowali swoją odrębność dzięki temu, że prowadzą koczowniczy tryb życia, że nie wsiąkają zupełnie w organizm gospodarczy ludów, wśród których mieszkają. Ale cyganie osiedli — zresztą są to wypadki bardzo rzadkie — w ciągu jednego, dwóch pokoleń od chwili porzucenia bytu koczowniczego, asymilują się zupełnie bez śladu ze swoim otoczeniem nie-cygańskim, z tą warstwą gospodarczą, do której się przyłączyli, t. zn. o ile cygan osiądzie na wsi i zajmie się rolnictwem — chłopieje do szczętu, zapomina własnego języka i kulturalnie przestaje różnić się od chłopa miejscowego; cygana miejskiego w drugim pokoleniu nic nie różni od innego rzemieślnika nie-cygańskiego, — ani język, ani obyczaje, ani tryb życia. A Żydzi?

Jedynie Żydzi, nie prowadząc życia koczowniczego, i osiadając wśród innych ludów, zachowali swoją odrębność w ciągu 2000 lat. Są naturalnie, i tu wyjątki. Peryferia żydowska, wierzchnia cienka warstwa inteligencji asymiluje się zewnętrznie, a — po zmianie wyznania i przy pomocy małżeństw mieszanych rozpływa się zupełnie w otoczeniu nie-żydowskim. Drobne, nieliczne grupy żydowskie, rozsiane wśród obcych i pozbawione kontaktu z innymi środowiskami żydowskimi, też gdzieniegdzie wyrzekały się swojej religii, zmieszały się z ludnością miejscową przez zawieranie z nią małżeństw. Ale są to tylko wyjątki, które na ogół potwierdzają regułę: Żydzi jako masa, się nie asymilują, zachowują swoją odrębność narodową, nawet po utracie języka.

Jakaż jest tego przyczyna? Pierwsza odpowiedź się nasuwa: religia. Odmienność wyznania chroni nas przed asymilacją. Tak było niegdyś w istocie, gdy o odrębności grup etnicznych w znacznym stopniu stanowił moment religijny, gdy powaga i rola tego momentu była przepotężna. Ale obecnie czynnik religijny stracił na znaczeniu; setki tysięcy Żydów są religijnie obojętne, bądź nawet de facto bezwyznaniowe, a mimo to się nie asymilują. Więcej: tam nawet gdzie Żydzi się wyrzekli swej religii, ale mieszkali bardziej zwartymi grupami, i gdzie nastąpiła już zewnętrznie ich kompletna asymilacja, — tam nawet pozostały jakieś nawpół podświadome bodźce, jakieś mgliste reminiscencje, legendy i podania, które powodują trzymanie się tych wynarodowionych grup razem, kultywowanie jakichś tajemniczych obrządków i krzewienie wśród siebie świadomości, że są oni jednak czymś odmiennym od ludności miejscowej, Żydami czy też potomkami Żydów. Tak jest na Majorce, tak jest w Portugalii, tak jest w kilku mieścinach prowansalskich.

Zatem nie religia nawet jest tym czynnikiem, który odrębność narodu żydowskiego urzymuje. Cóż tedy przeszkadza Żydom rozpływać się bez śladu w otaczającym ich morzu ludów? Co pomaga im zachować swoją odrębność narodową, swoją własną fizjognomię kulturalną?

Nie wiem, co na to odpowiada p. J. M. Borski, o ile postawił sobie takie zapytanie. Ale wiem co POWINIEN odpowiedzieć p. W. Alter, jeżeli chce być konsekwentnym socjalistą, a nie poświęcić teorię materializmu dziejowego dla dobra niekonsekwencji własnego stronnictwa. Otóż konsekwentny socjal-demokrata powinien odpowiedzieć: kultura narodowa jest nadbudową nad realnymi objawami życia gospodarczego, nad pewnym rusztowaniem ekonomicznym. Narody tak długo zachowują swoje odrębności kulturalne, jak długo tworzą pewne kompletne i ograniczone organizmy gospodarcze. Czynnikiem, stanowiącym o granicach organizmu gospodarczego, może być bądź terytorium, bądź władza państwowa na pewnym terytorium. Nie oznacza to, naturalnie, bynajmniej, by te organizmy były oderwane od siebie całkowicie, by nie znajdowały się we wzajemnym kontakcie, nie prowadziły wzajemnej wymiany. Odrębność organizmów gospodarczych nic jest równoznaczna z autarkią, a oznacza tylko, że dany organizm posiada wszystkie warstwy społeczne, niezbędne do normalnego życia ustroju gospodarczego i że te warstwy wzajemnie się uzupełniają, grupując się dookoła pewnego centrum, jak komórki w organizmie fizycznym. Ma się rozumieć, że i poza terytorialnymi czy państwowymi granicami danego gospodarczego organizmu narodowego pozostają jeszcze mniejsze lub większe grupy, żyjące już z zasięgu obcych organizmów gospodarczych, ale zachowujące swoją narodowość dzięki promieniowaniu ich narodowej kultury z ich narodowego gospodarczego organizmu. Sporne było przez dłuższy czas zagadnienie, który z czynników odgrywa większą rolę w spajaniu poszczególnych części organizmu gospodarczego: moment terytorialny czy moment państwowy. Na tym tle toczyła się przez szereg lat ożywiona polemika pomiędzy P.P.S. a Socjal-demokracją Polski i Litwy. Ta ostatnia, — zwłaszcza w jej imieniu Róża Luksenburg, — twierdziła, że Polska Niepodległa nie będzie zdolna do życia, gdyż stanowi ona części trzech odrębnych organizmów państwowo-gospodarczych: rosyjskiego, niemieckiego i austriackiego, i po oderwaniu od nich wyrwane części się nie spoją i zawisną w powietrzu. P.P.S. dowodziła, że wystarczy więź terytorialna, że w istocie każdy zabór jest samodzielnym organizmem gospodarczym w ramach większego, państwowo-gospodarczego ustroju, i że jedność państwowa tych trzech terytorialnie - samoistnych gospodarczych organizmów spoi je w jedną całość. Życie dowiodło, że rację miała P.P.S. Ale ani SDP i L. ani P. P. S. nigdy nie negowały materialistycznej przesłanki, że odrębność narodowa wiąże się ściśle z gospodarczą podstawą tej kulturalnej i politycznej nadbudowy. A te same materialistyczne przesłanki, które są dobre dla każdego narodu — są dobre i dla Żydów.

Żydzi początkowo, po opuszczeniu Palestyny, osiadali w Europie zwartymi grupami, zachowując swoją odrębność narodową i religijną (co się w owych czasach nieomal identyfikowało), przechowując żywą pamięć o swojej politycznej niezawisłości i tęsknotę za jej odzyskaniem, ubraną w religijną szatę mesjanizmu; osiedlali się w krajach Europy z psychologią chwilowych emigrantów, politycznych, oczekujących lada chwila momentu dogodnego do skierowania się z powrotem do przymusowo opuszczonej ojczyzny, a przeto niezdolnych do wysiłku, niezbędnego dla osiedlenia się na stałe w krajach rozproszenia. Jako kulturalnie i politycznie zupełnie obcy i odmienni nie byli dopuszczani do zajęcia normalnych placówek gospodarczych w organizmach narodów wśród których się znaleźli, a przede wszystkim nie mogli zająć głównej na owe czasy placówki gospodarczej, pracy na roli, zwłaszcza ze względu na tworzące się już w owym czasie pierwsze formy feodalnego ustroju. Nie mogąc objąć w posiadanie ani ziemi, jako największego wówczas warsztatu pracy, ani nie będąc dopuszczani przez ludność rdzenną do innych zajęć, jako przybysze, Żydzi musieli szukać dla siebie innych funkcji społecznych, które umożliwiły by im egzystencję — traktowaną jako coś chwilowego — nie kolidując z interesami ludności miejscowej. Ale o tym w następnym artykule.

Drogiemu Panu **Jehudzie Kalksztejnowi,**
Członkowi C. K. Organizacji Syjonistycznej w Polsce szczere współczucie z powodu zgonu
b. p. Siostry Jego
wyraża
Wydawnictwo „Ster"

Roman Brandstaetter

Europejczyk w rubaszce i kozak w pyjamie

Wytworzyło się u nas powszechne mniemanie, że ten, kto głośniej i częściej Żydów opluwa, żydostwo obraża, tym większym i dostojniejszym jest Kulturmenschem i Kulturträgerem. Może być taki opluwacz Królem Analfabecji, zerem do sotnej potęgi, niecością, pomnożoną przez nicość, próżnią dodaną do próżni ,ale skoro głos zabiera w sprawie żydowskiej, wówczas zawsze wysłuchuje się jego argumentów ze skupionym nabożeństwem. Więc po wynurzeniach jakiegoś judojada, który w normalnych okolicznościach powinien być silnie trzymany na smyczy i na światło dzienne niewypuszczany — wyskakują z pod stołów redakcyjnych antysemickie mikroby, maleńkie, zwinne, chorobotwórcze, szybko rozmnażające się, — i nuże roznosić zarazki po całym organizmie narodowym. A podczas gdy infekcyjne mikrobasy nienagannie odwalają swą robotę, w żyd. obozie poczyna kipić od świętego oburzenia, od płomiennych kontrargumentów i apologetycznych wyjaśnień. Hultaje z za parkanu kamieniami cisną, hukną na Żydów stekiem łgarstw i lżeń, a tu nagle dużym chórem odzywa się żydowska apologetyka, zbrojna w cytaty, przepisy, dowody, dokumenty. Ach! ta żydowska apologetyka! O, ta żydowska chęć przekonania, oświecenia i nawrócenia antysemity! O, ta żydowska naiwność, wyobrażająca sobie, że rozwścieczony antysemita, czując w siebie wymierzoną lufę niezbitych i celnych argumentów, ręce podniesie do góry i rzeknie w pokorze ducha: błądziłem, poddaję się, Żydzie! Nonsensowa taktyka! Jak długo bowiem istnieje żydowska apologetyka, nie było jeszcze wypadku, aby antysemita oświecony jej dowodzeniami, wyznał skruchę i o przebaczenie prosił. Jaki jest więc sens tej naszej obrony? Nijaki. Znam pewnego żydowskiego publicystę, wybitnego, o przeogromnej erudycji, który od wielu lat uprawia apologetykę, lecz dotychczas jeszcze ani jednego antysemity nie przekonał o niemoralności antysemityzmu.. W mieszkaniu jego, na ścianie, nie wisi ani jeden skalp, zdarty z antysemickiej czaszki. Ani jednego trofeum jeszcze nie zdobył. Po prostu ubija powietrze i prasuje wodę. Artykuły jego są pisane ze swadą i temperamentem, posiadają wielki ciężar gatunkowy, są mądre, ale przekonywują tylko — Żydów. Tragedia apologetyki!

Jaką zatem obrać taktykę walki? Jak przeciwstawić się — na płaszczyźnie publicystyki — brukowym objawom dzikiego antysemityzmu? Naszym zdaniem, należy przede wszystkim zrezygnować z przekonywania przeciwnika metodą polemiczną, a zwalczać go niezawodnymi ciosami ironii, satyry, brawurowym uderzeniem sarkazmu, nieobciążonego balastem naukowych dociekań i dowodzeń. W tym zakresie logicznie prowadzonej kontrofensywy, jedyną bronią jest pamflet, ostry, mocny, wymierzony celnie i brawurowo. Silniej i skuteczniej działa on niż przyciężka machina apologetycznych argumentów.

Te wszystkie sprawy ostatecznie uświadomiłem sobie po przeczytaniu żydowskich artykułów, replikujących na wywody Świętochowskiego i Hulewicza („Wiadomości literackie" Nr. 16). Mój Boże! Czego też ci nasi żydowscy publicyści nie wygadywali! Jak się to oni prześcigali w erudycji, w znajomości żydowskiej kultury i nauki, jak to oni pięknie wyliczali ogromne rejestry naszych zasług i dzieł,arcydzieł i szlachetnych czynów, byleby udowodnić jakiemuś kozakowi w pyjamie, że żydostwo na całej przestrzeni swych dziejów coś więcej jeszcze wydało, niż tylko Biblię, Talmud no i... „Dybuka". Jakiż to był dziwnie przykry widok, gdy jeden z żydowskich publicystów osiodłał samego Majmonidesa, a potem Spinozę, a potem Einsteina, i na tych trzech ognistych bachmatach przeciw kozakowi w bój wyruszył, aby mu udowodnić, że żydowska kultura jest TAKA, a nie jak chce p. Hulewicz — NIJAKA! No i cóż? Przekonał? Sądzę. że nie. Jeżeli nie wierzycie, spytajcie kozaka.

Podobnie potraktowała żydowska publicystyka występ nestora Świętochowskiego. Podobnie, ale nie tak samo. W artykułach żydowskich publicystów, polemizujących ze Świętochowskim, dominowała nuta cichego sentymentu dla starego pozytywisty, który demokrację i liberalizm zdradził i poszedł pod mało zaszczytne jarzmo antysemityzmu. Po prostu wyczuwało się pod polemicznym galopem żydowskiej argumentacji — cichy żal do siwego pana, który gdyby chciał, mógłby być polskim Zolą, a wolał zostać — oświeconym Streicherem. Z argumentacji naszych publicystów, polemizujących ze Świętochowskim, kapało sentymentem i łezką. Przez chwilę powiało kurtuazją, perfumowanym frakiem i dystynkcją. Ale nie było — bezkompromisowego oburzenia. Ten i ów w obliczu ogromnej erudycji wielkiego pozytywisty, uważał za stosowne poświecić mu też w oczy własną erudycją i własną wiedzą i wydobyć z zanadrza arsenał arcyapologetycznych przesłanek. Polemika! Polemika ze Świętochowskim, jednym z najlepszych polemistów. Polemika w sprawie antysemityzmu! Tu już trzeba do boju wystąpić w doskonałym uzbrojeniu kunsztownych dowodzeń, z damasceńską szablą argumentów w dłoni, w zbroi ukutej z niebyle jakiej erudycji. Tu trzeba replikować pełnym patosem apologetyki, jej całym prestiżem i całą jej potęgą! Albowiem przez Świętochowskiego przemawia intelektualny antysemityzm! A to nie byle co! O ludzie naiwni! Ci Hulewicze, Świętochowscy, Rostworowscy, Wasilewscy, ten smukły świecznik antysemickiego panteonu, tym samym czadem kopci, co zapaskudzony ogarek Dziarmagi, okładającego pałką Żydów na uniwersyteckim dziedzińcu! Nie wierzcie tym intelektualnym antysemitom, zasłaniającym kastet swego frazesu togą świętej kultury! Nie zapalajcie u ich stóp boskiego światła żydowskiej apologetyki gdyż ich przesłanki są te same, co kanoniérów z pod wystaw żydowskich sklepów spożywczych! Ci oświeceni kawalerowie sprawy antysemickiej, te Kapistrany i Torquemady w lakierkach ,posiadają tę samą mentalność, co ich bogoojczyźniany narybek spod znaku Nary! Nie wierzcie im! Nie wierzcie ich oświeceniu, ich intelektualizmowi, ich europeizmowi ich górnym frazesom o kulturze i cywilizacji — a potraktujcie ich taksamo jak anonimowych podbipiętów z A.B.C, strzelających z hitlerowskiej procy. Czyż apologetyką zwalczać będziecie zapienionego żydojada? Czyż argumentem o tysiącletniej tradycji żydowskiej w Polsce odpowiecie endeckiemu korporantowi, dżentelmeńsko okładającego pięścią Żydówkę na korytarzu uniwersyteckim? Czyż argumentem o dostojeństwie i wielkości żydowskiej kultury odpowiecie narowcowi, wymierzającemu od tyłu ciosy w głowy spokojnych przechodniów żydowskich? Świętochowski? Hulewicz? Ze szczytów i z nizin polskiego piśmiennictwa patrzą na naszą martyrologię te same złe, nienawistne oczy ludzi, nie mogących wznieść się ponad poziom obłudy, cynizmu i kłamstwa! Świętochowski? Hulewicz? W ich zwrotach pod maską gładko wycyzelowanego zdania i polerowanej metafory, kryją się te sama petardy, które ongiś eksplodowały na otwockiej linii. Apologetyką ich przekonasz? Kogo? Tych, którzy w obliczu bolesnej tragedii 3.000.000-wego społeczeństwa żydowskiego w Polsce nie posiadają na tyle siły moralnej i etyki, aby prać się w piersi, wykrzyczeć swą winę i przeciwstawić się naporowi antysemickiego frontu! Ich chcecie przekonać? Ich? O śmieszni!

Zatem po kolei:

Naprzód — p. Hulewicz.

Kim jest właściwie p. Hulewicz? Nie bawmy się w ciuciubabkę. P. Hulewicz swoją pseudoerudycją imponuje niewątpliwie redakcji A. B. C., emerytowanemu oficjałowi pocztowemu Maciejowi Picowi z Poznania i prezesowej Związku Pobożnych Kucht z pod znaku Św. Zyty. Tam w gronie zacnych dewotek, wierzących jeszcze gorąco, że Trocki, Blum i mecenas Jajteles to jedna i ta sama osoba, objawiająca się jak Lucyfer pod różnymi postaciami — zapewne uchodzi p. Hulewicz za speca od kultury żydowskiej, znawcę Biblii, Talmudu i „Dybuka". Nas jednak w butelkę nie nabije. My bowiem wiemy doskonale, że p. Hulewicz nic nie umie, nic nie wie o żydostwie, nigdy w życiu nie starał się zgłębić naszej kultury, że do czysta wyciosany z wszelkiej intelektualnej powagi, z wszelkiej solidnej wiedzy, — pustkę swojej umysłowości zalewa obelgą, cynizmem i tupetem. Lecz nie rozumie, że się ośmiesza, gdy pisze takie karkołomne brednie:

> Tak więc nie stworzyła kultura żydowska ani odrębnej literatury, ani muzyki, ani malarstwa, ani rzeźby, ani architektury. Naród żydowski nie uwiecznił swego kulturalnego oblicza w żadnej gałęzi twórczości. To jest to, czego naród żydowski nie dorzucił do ogólnego skarbca kultury świata. Jeżeli zaś szukamy wartości pozytywnych, wymienić musimy: jedno dzieło literatury obyczajowej (Biblia Starego Testamentu), jedno dzieło prawno-etyczne (Talmud), jedno dzieło plastyczno-zdobnicze (świecznik pięcioramienny), a w czasach najnowszych kilka utworów w rodzaju „Dybuka".

Jeżeli w tym krótkim rejestrze przeoczyłem coś ważniejszego ,jeżeli rejestr ten powinien być nawet podwojony, przyznać musimy, że zgórą trzydziestowiekowa kultura żydowska ilościowo stworzyła niesłychanie mało. Jakościowo zaś poważnie w grę wchodzi jedynie Biblja Starego Testamentu, która wywarła pewien wpływ na ukształtowanie się źródeł chrześcijaństwa.

Albo takie bezmyślne ględzenie:

> Jestem przekonany, że gdyby Żydzi przyszli do nas z kwitnącą kulturą własną, nie spotkaliby się z odporem Polaków; zbyt wiele dawaliby wzamian za to, czego im użyczamy. Tymczasem kultura nijaka nic nam nie mówi, nic nam nie daje, jest nam obca, a gdy w kulturę nijaką wprzęga się nasze właściwości, nasz język, obyczaj, nawet nasze myśli i tęsknoty, jeżeli nasze tradycje zapomocą piękna języka Mickiewiczów, Słowackich, Norwidów, Wyspiańskcih usuwa się w cień w imię t. zw. postępowości, jeżeli się wmawia, że co narodowo nieokreślone to postępowe, a co narodowe (nie endeckie oczywiście), to wsteczne, w takim razie odruch Polaków jest aż nazbyt zrozumiały.

Łatwe jest porozumienie dwóch kultur, które są wyrazem duchowym dwóch narodów; trudne, może nawet niemożliwe, porozumienie kultury danego narodu z kulturą nijaką. Może na tem polega zawiązek nieporozumienia kulturalnego między Polakami i Żydami? może na tem, że Żydzi świadomie, czy nieświadomie, rzucają nijakość swej kultury na szalę najistotniejszych potrzeb i pragnień narodu polskiego?

I z tym ględzeniem wy, publicyści żydowscy, poważnie dyskutujecie? I kopię łamiecie w obronie obrażonej waszej dumy? Z tymi brechtami polemizujecie? Ludzie! Na litość boską! Komu się przeciwstawiacie? Czyż nie uświadamiacie sobie, że wywody Jerzego Hulewicza stoją w ogóle poza obrębem wszelkiej solidnej dyskusji! I oto w obliczu Nieśmiertelnego Głupstwa wodobywacie arsenał waszej wiedzy judaistycznej, dzieje żydowskie na plac boju wyprowadzacie, zaklinacie się na pamięć wszystkich uczonych, mędrców , poetów i filozofów żydowskich, po to tylko, by przekonać intelektualną miernotę, że my Żydzi posiadamy oryginalną kulturę. Dajecie się prowokować! Z jak wielkim uczuciem wstydu czytałem w jednej z gazet żydowskich długą litanię naszych zasług kulturalnych, po to wypisaną, aby udowodnić nieinteligentnej jednostce, że jednak „Stary Testament wywarł wielki wpływ na kształtowanie się źródeł chrześcijaństwa"! Bezcelowa dyskusja, bezcelowa apologetyka, bezcelowe argumenty! Nikogo nie przekonają! Goncourt tak powiedział: „Jedynym atramentem do zapisania się na kartach ludzkości jest krew". Czyż nie widzicie, że p. Hulewicz pluje w atrament?

A teraz przejdźmy do p. Aleksandra Świętochowskiego. W białych rękawiczkach i we fraku. Jak rzeczywiście na to zasłużył dawny „poseł prawdy", dawny bojownik o sprawę liberalizmu, dawny demokrata i dawny pozytywista, dawny wróg chamstwa i obłudy społecznej, dawny przeciwnik antysemickich łotrostw i — nasz dawny przyjaciel. Czasy się zmieniły. Dziś właśnie, gdy liberalizm dawnego Świętochowskiego w zetknięciu z codzienną rzeczywistością — został podany ogniowej próbie, okazało się, że autor „Chawy Rubin" zdołał przewalczyć w sobie posła prawdy" i wymazać go z dobrej pamięci ludzi dobrej woli. Z dawnego Świętochowskiego nic prawie nie pozostało. Poza-kapitalnym, cudownym, złotym stylem polskim, lśniącym wciąż jeszcze nieskazitelnym blaskiem giętkiej i ostrej stali. Oto co pozostało z dawnego Świętochowskiego:

> Czy można nakłonić lub zniewolić trzydziestomilionowy naród, od wieków ze swoją ziemią zrosły, historycznie w formach życia społecznego swoiście ukształtowany, posiadający własną, w niektórych dziedzinach wysoko rozwiniętą kulturę i umiłowane tradycje, po półtorawiekowej ciężkiej niewoli wskrzeszony do niepodległości i upojony swobodą kierowania swym losem, ażeby on zgodził się na przechowywanie w swem wnętrzu wielkiej zorganizowanej i rozrastającej się masy napływowej, u której zaledwie wyjątki upodabniają się do otoczenia, która żąda nie tylko równych z niem praw, ale przywilejów dla swoich przeżytkowych barbaryzmów, która nie tylko nie chce ulegać, ale pragnie w pewnych stosunkach panować, która nie tylko opiera swoją działalność na sile miejscowej, ale na pokrewnej wszechświatowej? To jest niemożliwe, i tego nie osiągnie ani najwymowniejsza zachęta, ani najostrzejsza nagana.

Oto — niepozorne strzępy dawnych meldunków, wspaniałych meldunków, ongiś składanych epoce górnej i chmurnej, ociemnionej legendą mądrego pozytywizmu. Gdzież jest więc dziś szlachetny patos Świętochowskiego? Gdzież się zapodział głęboki nurt jego wrażliwości społecznej? Gdzież jest jego sumienie? Nie chcemy przekonywać Świętochowskiego, nie chcemy z nim polemizować, nie chcemy go nawracać na wiarę demokracji, nie chcemy piętnować jego mglistej argumentacji. Nie chcemy mu uświadamiać popełnionych przez niego błędów historycznych, nie chcemy mu tłumaczyć naszej misji dziejowej ani kłuć go apologetyką żydowską. Wiemy bowiem, że człowieka — który ongiś przysięgając na najświętszy symbol narodowej wolności, obiecywał Żydom pełnię praw obywatelskich w Niepodległej Polsce, a potem w obliczu tej wolności zaparł się (tak! zaparł się! zaparł się!! zaparł się!!!) swej dawnej przysięgi, że takiego człowieka nikt już więcej nie zdoła przekonać o słuszności sprawy żydowskiej w Polsce! Kiedyś w swej książce „O prawach mniejszości" (Warszawa, 1907) pisał Świętochowski:

> „Jest to więc dla nas celem pierwszorzędnej wagi, ażeby prawa mniejszości były należycie zabezpieczone w państwie i naszym kraju. Musimy przy tym raz na zawsze wyrzucić z naszych rojeń politycznych to złudzenie, że będziemy mogli stosować dwie różne miary: uszczuplać i gwałcić te prawa u siebie, a domagać się o ile nas dotyczą, pełnego uznania gdzieindziej. Tyle swobody żydzi nie zasymilowani lub rusini mieć muszą w Królestwie Polskim, ile Polacy — w Cesarstwie. Zginęliśmy i cierpieliśmy przez to, że byliśmy mniejszością; znając wszystkie odmiany jej niedoli i własnego doświadczenia, tembardziej nie powinniśmy żadną z nich udręczać tych, nad którymi mamy przewagę, jeśli nie chcemy utracić prawa do skargi na doznane krzywdy i do poprawy losu".

Mistrzu! Krzywda!!! Czy pan rozumie jeszcze dziś sens tego słowa?! Czy pan jeszcze dziś umie wgłębić się w niesamowitą treść tego pojęcia!? Krzywda!!! Czy pan, siwy i czcigodny skądinąd starzec, który mógłby być w dzisiejszych czasach nienawiści i obłudy, symbolem najwspanialszej polskości — czuje jeszcze w sobie krzyk polskich męczenników: krzywda!!! Czyż w pańskim sercu już zagoiły się blizny po ranach: zadanych przez carskich ustawodawców, trzebiących bezlitośnie polskość!? Krzywda!!! Czy pan jeszcze wie, ile tragedii kryje się w tym strasznym słowie, które tylko w chwilach największej rozpaczy wypowiadali w głębi swej duszy — najszlachetniejsi synowie pańskiego narodu! Europejczyku! Kiedyś przed laty zaklinał się pan na bolesne rany swej Ojczyzny, że nigdy nie będzie pan w stosunku do Żydów „uszczuplał i gwałcił praw, ani nie będzie stosował dwóch różnych miar"! Wówczas ciskał pan najwspanialsze klątwy, płynące z proroczego natchnienia, na miedziane czoła Pobiedonoscewa i Katkowa, na hakatystów i prześladowców polskiego narodu, bił pan piorunami w ich zakusy, w ich zbrodnicze plany, w ich carską i pruską rację stanu! I wtedy nie przypuszczał pan zapewnie, że kiedyś po latach, aby Żydom odebrać prawo do uniwersyteckiej nauki, będzie pan — Aleksander Świętochowski!!! — zasłaniał endecką młodzież przed naszymi sprawiedliwymi postulatami, przeklętym cieniem Pobiedonoscewa i Katkowa, przeklętym duchem hakaty, że porówna pan bez drgnienia serca — Aleksander Świętochowski!!! — endeckich studentów, wyrzucających z ławek uniwersyteckich swych żydowskich kolegów — ze zmorą carskiej reakcji, carskiej mentalności, carskiej ohydy! Wszak wyraźnie pan pisze:

> „Tymczasem studenci żydowscy pragną koniecznie siedzieć między kolegami, którzy nimi gardzą. Ponieważ pogarda ma bardzo wiele znaczeń, mieszczących się między obelgą a zaszczytem, i ponieważ dotknięty nią nie uważa się za obrażonego, jeżeli w swojem przekonaniu na nią nie zasługuje, przeto zdawałoby się, że studenci żydowscy nie tyko powinni zająć osobne ławki, ale ich stanowczo zażądać. Przecież takie odosobnienie jest naturalne i przyjęte we wszystkich ciałach zbiorowych, w których członkowie grupują się według różnic politycznych, społecznych i religijnych. Socjalistom, katolikom lub Polakom w dawnym parlamencie niemieckim albo Polakom w dumie rosyjskiej nie przyszłoby na myśl żądać siedzeń pomiędzy narodowo-liberałami, hakatystami lub zwolennikami Pobiedonoscewa i Katkowa.
>
> Czy student żyd wyobraża sobie możliwość zajmowania ławki między „endekami"? Doprawdy okazałby nadzwyczajną bezwrażliwość nerwów i brak poczucia godności".

Brak godności? Bezwrażliwość nerwów? O, gdyby dziś przez pana, choć przez chwilę krzyczał ból żydowski i pogwałcone prawo człowieczeństwa, a nie pusty frazes o niemożności wspólnego pomieszczenia się Polaków i Żydów na jednej ziemi — wówcas zrozumiałby pan przykry sens swoich złych słów. Lecz proszę nas źle nie rozumieć! Nie chcemy pana przekonywać, nie chcemy pana nawracać! Chcemy tylko panu wskazać, dokąd pan zaszedł. Chcemy tylko panu powiedzieć, że pan siedzi na ławie oskarżonych, a my — jesteśmy prokuratorami! Przed trybunałem historii! I cóż pan na to? Pan przecież nigdy nie pluł w atrament!!!

Inż. A. Glizer

Odwaga czy bezradność?

(KORESPONDENCJA WŁASNA „STERU" Z PALESTYNY).

Pomimo ostrożności, z jaką należy przyjmować wszelkie pogłoski o treści sprawozdania Komisji Królewskiej, nie ulega wątpliwości, że ostatnio lansowane wieści o przyszłych zaleceniach Komisji zasługują na baczną uwagę. Nie ma podstaw do przypuszczenia, jakoby rozmaite doniesienia dzienników na ten temat mogły rzeczywiście oddawać uchwały Komisji, które przecież dotąd w ogóle nie zapadły. Odzwierciedlają one jednak kierunek, w którym się między innymi szuka rozwiązania problemu palestyńskiego i w tym tkwi ich doniosłość.

Komisja Królewska jest teraz w trakcie formułowania swych wniosków. Jest to praca godna głębokiego współczucia. 19 lat rządów angielskich w Palestynie tak zagmatwało — pierwotnie dość prosty — problem, że rozwikłanie go nie może być zadaniem zbyt wdzięcznym w oczach brytyjskiego męża stanu. Wydarzenia ostatniego roku zaostrzyły sprawę do tego stopnia, że wydaje się prawie nie do utrzymania dotychczasowa taktyka unikania za wszelką cenę rozwiązań zdecydowanych. Metoda ciągłego lawirowania, aby i wilk był syty i owca cała, doprowadziła do sytuacji, w której się okazało, że ani wilk już nie chce zadowolić się, jak dawniej, ochłapem, ani też owca nie zdradza żadnej ochoty, aby się dać nie tylko pozreć, ale nawet ostrzyc. Jak z tego wybrnąć?

Zgodzić się na żądania arabskie nie można. Oznaczałoby to śmiertelną wojnę z Żydami, do czego Anglia (w odróżnieniu od niektórych innych państw) bynajmniej się nie kwapi. Byłoby to jawnym pogwałceniem zobowiązania międzynarodowego, co, jak wiadomo, w Anglii (znowu w odróżnieniu od niektórych innych państw) nie wywołuje żadnego entuzjazmu. Raczej wprost przeciwnie. Nie byłoby to zresztą pożądane z punktu widzenia czysto-brytyjskich interesów imperialnych.

Ponowienie zabiegu, stosowanego dotąd po każdych rozruchach, nie wydaje się także obecnie rzeczą skuteczną. „Normalnym" rezultatem rozruchów była dotąd w Palestynie każdorazowo próba udobruchania Arabów przez pewne skrępowanie możliwości rozwojowych Żydowskiej Siedziby Narodowej. I tym razem nie brak zwolenników szukania na tej utartej drodze sposobu wymknięcia się kłopotom. Wysoki Komisarz jest przede wszystkim zwolennikiem tej metody. Nie jest on bynajmniej przeciwnikiem Żydowskiej Siedziby Narodowej. Lecz wiemy, że ograniczenie imigracji i zakupów ziemi oraz utworzenie Rady Ustawodawczej są konieczne dla uspokojenia kraju. Doszedłszy do tego przeświadczenia jeszcze przed wybuchem rozruchów 1936 r., zaczął już wówczas prowadzić politykę w tym kierunku, w czym napotkał zresztą na ostry sprzeciw Żydów i prawie całego parlamentu angielskiego. To samo przeświadczenie kierowało sir Wauchope'm w ciągu rozruchów i stąd jego wahająca się, kunktatorska polityka. W tym samym przeświadczeniu wytrwał on dotąd i w tym kierunku szły jego sugestie, przedłożone Komisji Królewskiej. Nie jest wyłączone, że Komisja pójdzie w tym kierunku. Sprzeciw Żydów jest wprawdzie czynnikiem nie do zlekceważenia, jak to wykazał przebieg rozruchów i niepowodzenie wszystkich prób okupienia spokoju przerwaniem imigracji. Tym niemniej zdecydowałaby się może Komisja na przyjęcie metody Wauchope'a. Nie można mieć zresztą pewności, że tego w końcu nie uczyni. Ale wydaje się, że członkowie Komisji widzą to, czego nie chce przyznać Wysoki Komisarz: że metoda taka będzie nie tylko niesprawiedliwa i napotka na opór Żydów, ale że będzie też — nieskuteczna. Lord Peel i koledzy jego mieli możność poznać w Palestynie tutejszych przywódców arabskich i przekonać się, że to, czego oni szukają i coby ich jedynie mogło naprawdę teraz zadowolić, to zaspokojenie ich żądzy władzy. To zaś nie da się osiągnąć drogą ograniczeń kosztem Żydów przy zachowaniu ustroju mandatowego z Anglią jako mandatariuszem.

Jest trzecia droga, którą proponują Żydzi: rzetelna i nieuszczuplona realizacja mandatu. Ułatwianie, a nie utrudnianie rozwoju Żydowskiej Siedziby Narodowej, prowadzi do trwałego pokoju w kraju. Zbyteczne dowodzić, że im wcześniej Żydzi się zrównają liczbowo z Arabami, tym wcześniej problem palestyński znajdzie swe rozwiązanie. — Ba, powiadają urzędnicy, ale co będzie do owego czasu? Permanentne rozruchy? Na to sobie Anglia nie może pozwolić. — W tym właśnie sęk, że nie muszą być permanentne rozruchy. Nie kto inny, jak rząd, swą chwiejną polityką natchnął przywódców arabskich wiarą, że wystarczy mocno nacisnąć, aby postawić na swoim, i umożliwił effendim wpojenie tego przekonania ludowi.

STEFAN POMER

ODYSSEJA PO ŻYDOWSKU

Homer: Odysseja. Przekład L. Peczenika. Wstęp S. Szajnberga. Idisze Uniwersal-Bibliotek. Warszawa, 1937. Str. 472.

Przekłady homeryckie stanowią w każdej literaturze miarę jej kulturalnej dojrzałości. Wielkie literatury świata mają nie tylko dobre i wierne (t. zw. filologiczne) przekłady „Iliady" i „Odyssei", ale szczycą się przede wszystkim swoimi własnymi narodowymi „Iliadami" i „Odyssejami", mającymi już własną wewnętrzno-narodową tradycję. Takim jest angielski przekład „Iliady" Pope'a, niemiecki Vossa, polski Dmochowskiego (Iliada) i Siemieńskiego (Odysseja) itd. W starożytności siedem miast kłóciło się o Homera, o jego kolebkę i miejsce urodzenia, a później wszystkie narody świata rywalizowały ze sobą w wysiłkach przyswojenia sobie w swej własnej narodowej szacie nieśmiertelnych eposów homeryckich.

Staryżytność ubóstwiała Homera, czciła go jako najlepszego doradcę, mistrza i pocieszyciela ludzkości. Średniowiecze, mimo, że zapomniało greczyzny i daleko odbiegło od ducha Hellady, uznawało królujące stanowisko tego wieszcza, którego Dante nazwał „poeta sovrano". W okresie humanizmu kult Homera wzrastał co raz bardziej, pomimo, że w tym właśnie czasie pojawiają się wielcy rywale starożytnego epika, jak Ariosto, jak Torquato Tasso, usiłujący w „Sermo vulgaris" dorównać nieśmiertelnej chwale homeryckiej. Następuje rychło okres neohumanizmu, odrodzenie entuzjazmu dla greckiej piękności przy końcu XVIII stulecia, uwielbiające znowu Homera w najgorętszych słowach:

„Das alte, das ewig junge Lied Aus dessen meerdurchrauschten Blättern Uns freudig entgegensteigt Der Atem der Götter Und der leuchtende Menschenfrühling Und der blühende Himmel von Hellas".

Wiek XIX przynosi nową falę zainteresowań homeryckich. Powstaje uczona literatura homerycka. Lecz pomimo papierowej nawałnicy uczonych dłubaczy, rozpętanej nad spuścizną greckiego aojdy, mimo germańskiej megalomanii, która pożarła Homera („es kam der Wolff und frass den Homer") czar starożytnego poety i jego młodość nieśmiertelna, dziś równie wiośniana, jak za czasów „des leuchtenden Menschenfrühlings", napawają radością, szczęściem i wytchnieniem nasze jałowe i strudzone serca.

Jedną z najpiękniejszych książek, jakie się ukazały po wojnie w Polsce, jest przekład „Odyssei" Homera, dokonany przez polskiego Żyda, szlachetnego, szczerego poetę Józefa Wittlina. Przekład Wittlina nie był przypadkowy. Został poczęty i dokonany z tą myślą, że „Odysseja" to opowieść o naszych czasach, że tułaczka Odyssa, jego tęsknota za domem rodzinnym, jego prześladowania, doznane od losu i bogów — to symbol współczesnych zmagań człowieka, jego samotności, prześladowań i tęsknoty. Żyd Wittlin, polski poeta przełożył „Odysseję" na język polski i poprzedził ją przepiękną przedmową, w której, szukając wyrazów, przykładów, analogii do wyrażenia swego zachwytu i entuzjazmu dla umiłowanego arcydzieła homeryckiego, nie znalazł godniejszej analogii, lepszego przykładu, niż w cytatach z Biblii...

Obecnie ukazał się przekład „Odyssei" na język żydowski, dokonany przez kogoś dotąd zupełnie nieznanego — przez Peczenika. Przekład wydany w tanim wydaniu, bez należytego aparatu, uczonych wstępów, bez poetyckich przedmów, szukających analogii z Biblią... Trzy ubożuchne tomiki, wytłoczone na tanim papierze, zalecone przez wydawcę do czytania „tysiącznym rzeszom czytelników z ludu, którzy potrafią zaoszczędzić kilka groszy ze swych skąpych zarobków na książkę". Tym to czytelnikom opowiada dalej, popełniając wiele komicznych gaf (pomieszanie Syreny z Kirką) treść „Odyssei", wskazuje na jej nieśmiertelne piękno, na wieczną aktualność i radzi (bardzo słusznie!) czytać i wczytać się dokładnie, a wtedy stara opowieść nabierze rumieńców młodości.

Czytamy i wczytujemy się więc w ten żydowski przekład greckiego eposu:

„O muze! bazyng mir di mansim fyn farwugelten gibor, wus Nuch di chorbunes fyn der hajliger Troje hot ar azojfil Geblondżet".

W „mamełuszen", w języku naszych mas ludowych zbliża się ku nam czar homerycki, uśmiecha się kwitnące niebo Hellady i brzmi starożytna a wiecznie młoda pieśń, w której rozbrzmiewa szum morza, błyszczą hełmy herosów i pachnie ambrozyjski oddech bogów. Nie trzeba żadnego wysiłku, by znaleźć męczącą analogię z równie wielką, i nieśmiertelną poezją, z równie wielką i nieśmiertelną wizją świata, zamkniętą w naszym własnym, narodowym eposie — w Biblii. Analogia ta sama się nasuwa, sama przychodzi. Świat greckich herosów i świat wizji biblijnej splata się i miesza w tym żydowskim słowie, w mowie naszych dziecięcych klechd i kołysanek, rozbrzmiewa w jeden porywający akord swojskiego czaru, tętni wspólnym nurtem, jakby z jednego źródła poczęty.

Odwracamy karty tej żydowskiej „Odyssei", szukamy poszczególnych miejsc najbardziej umiłowanych, najbardziej pięknych, najsilniej zapadłych w zachwyconej pamięci. Jakże brzmi ten najcudniejszy passus, który pamiętam dotąd w przekładzie Siemieńskiego:

„Do wyspy się zbliżając leżącej daleko, Z wód wychynął i lądem posuwał się lekko Aż do wielkiej pieczary, boginki siedliska, Kalipsy długowłosej, którą u ogniska Samą siedzącą zastał. Zdala już powiewek Niósł po wyspie zabachy od płonących drewek Żywicznych cedru. Głos jej wdzięczną brzmiał piosenką, Gdy chodząc wkoło krosien, suwała czółenko."

W przekładzie Wittlina te czarujące wiersze brzmią równie ślicznie:

„Ale od wnętrza się niosło pienie z gardzieli milońskiej, Śpiewane snać przy krosienkach, gdy dłoń złocistym czółenkiem Nitkę owodzi przędzielną".

Klasyczny przekład niemiecki Vossa oddaje to nieskazitelnym heksametrem:

„Sie sang mit melodischer Stimme Emsig, ein schönes Gewebe mit goldener Spule za wirken."

Czyż nierównie ładnie, a jakże bardziej serdecznie i swojsko brzmią te wiersze po żydowsku:

„Yn es wyklen di finger Gingyldyne knajtlach ojf dyninke szpizlach yn es tryłert Bajm szpynen ihr ferkyszefter nygen".

A oto opis Odysseja, siedzącego nad brzegiem morza i tęskniącego za „dymem Itaki":

„Yz er ojch ycter Bajm jam-breg gezesen yn fyn benkszaft fergosen yn myt Farcerte blyken gegloct ergyc wajt yber jamiszen mydbor".

A oto sławny początek pieśni szóstej, który podaję dla porównania w przekładzie Wittlina:

„I odpoczywał Odyssej, boski, wędrowny cierpiętnik. Trudem i snem poimany."

A po żydowsku:

„Yn run yz der grojser sabłen Odysejus mit a hajliken Drymel yn a farmaterten szluf geworen ferzynken."

I jeszcze tylko ten jeden ostatni cytat o wiernym psie Argosie:

„Lygt azoj Argos Farłajzigt: fyn gnides yn kinem cebisen, tyt płycling zajn Nozdre fyn waitens dersznapen zajn har Odysejus, nemt er un Kojches mitn wajdel zich łaszczen az ihm fałen arunter di Hintisze ojren. Ober ach! beszim ojfen, er kon zich ci Zajn har nyszt derszługen".

Tych kilka przytoczonych cytatów nie może oczywicie dać niezorientowanemu czytelnikowi należytego wyobrażenia o duchu i języku przekładu. Widać z nich co najwyżej, jakimi sposobami zewnętrzno formalnymi posługiwał się tłumacz. A więc starał się oddać wiernie heksametr homerycki w wolno rytmicznym wierszu żydowskim. Styl archaizmu oddał przy pomocy użycia składni, zatrącającej echami starożytnych tekstów (ywry-tajcz) jakoteż licznych (może nawet zbyt licznych) hebraizmów. Dla oddania stylu Homera, który był poetą dworskim—nie ludowym, i śpiewał swe rapsody na arystokratycznych dworach — najlepiej nadawałby się styl rycerski średniowiecza, dla którego nie ma przecież odpowiednika w języku żydowskim, wytworzonym i uformowanym przez lud. Toteż użyte przez tłumacza hebraizmy w pewnym stopniu oddają jego intencję stylistyczną, chociaż nie wszędzie zdołał on szczęśliwą ręką wybrnąć z trudności: bywa, że popada on niekiedy w manierę makaronizmu.

Inny natomiast zarzut, czyniony tłumaczowi przez „znawców" jego pracy pragnąłbym przy okazji na tym miejscu odeprzeć. Zarzuca się mianowicie tłumaczowi brak miary wierszowej, brak metrycznego heksametru, czyli skodyfikowanego automatycznego rytmu. Zarzut ten jest bezprzedmiotowy. Rytmika, jakiej użył tłumacz, jest dynamiczna, dostosowana do treści i do tła słuchowego. I nie jest to wadą przekładu, ale wielką jego zaletą. Współczesnego czytelnika przy lekturze długich choć najpiękniejszych eposów często ogarnia nuda: a pochodzi to stąd, że wątek narracyjny jest porąbany i posiekany na wiersze o intelektualnej schematyce. Toteż nowoczesne przekłady wielkich eposów zaniechały szablonów rytmicznych, słusznie wychodząc z założenia, że kto nie czując wyrąbanego taktu, sądzi, że nie znajduje rytmu, ten musi sobie odczytać dany utwór głośno.

Takim nowoczesnym przekładem jest również niniejszy przekład „Odyssei" na język żydowski. Jest to dzieło wielkiej pracy, wielkiego umiłowania przedmiotu i — dodajmy również: jest to dzieło talentu. A w końcu jest to również praca pionierska, która zasługuje na należytą ocenę i uznanie. Obok przekładu Biblii na język żydowski Jehoasza, praca Peczenika jest niewątpliwie największym wysiłkiem przekładowym w literaturze żydowskiej.

Ozjasz Neufeld

Więzienia palestyńskie

Reportaż

Więziennictwo palestyńskie nie może uskarżać się obecnie na złą koniunkturę. Ostatnio zapełniły się tłumnie więzienia i wichrzącymi Arabami i broniącymi się Żydami. Trzeba przyznać, że Anglicy przygotowali dla nich dość nowoczesne pomieszczenia, gdy objąwszy rząd w Palestynie zastąpili stare, urągające wszelkim wymogom higieny i nowoczesnego poczucia prawnego kazamaty tureckie, budynkami więziennymi na europejską modę.

„Centralą" więziennictwa palestyńskiego jest Akko, prócz tego istnieje więzienie dla kobiet w Bet-Lechem i dla młodocianych w Jerozolimie, nie mówiąc oczywiście, o aresztach, znajdujących się przy każdym urzędzie policyjnym.

Uprzejmość zarządu więziennego ułatwia dostęp obserwatorom, toteż miałem możność przypatrzenia się życiu więźniów w Palestynie, szczególnie w Akko. Wiadomo, że w mieście tym została wybudowana twierdza, olbrzymi, koszarowy budynek z kamienia postawiony. Już grubość muru działa przytłaczająco po prostu człowiek czuje się przywalony i ma wrażenie, że nie ma stąd wyjścia. Na zewnątrz rzecz nie przedstawia się tak groźnie. Wręcz przeciwnie: bezpośrednie położenie nad morzem działa kojąco i przyznać trzeba, że zarząd pozwala więźniom korzystać z kąpieli morskiej, oczywiście pod silną obserwacją.

Ba, sam chrzest aresztanta czy skazańca, rozpoczyna się tu od kąpieli, tak potrzebnej szczególnie Arabom.

Komendant więzienia, Anglik, przyjmuje mnie bardzo grzecznie i przydziela mi jako przewodnika starszego sierżanta arabskiego. Ten odrazu tłumaczy mi, że Arabowie i Żydzi przebywają w odrębnych celach, zwłaszcza od ostatnich rozruchów, bo zarząd rozumie, jak trudno tym ludziom znaleźć wspólny język, chociaż poza tym obie te kategorie znoszą się nieźle. Spośród Arabów — oprócz tych, którzy brali udział w rozruchach, jest tu wielu przestępców pospolitych. Są to przede wszystkim wykonawcy zemsty rodowej, która w poglądach prawnych i moralnych Arabów obowiązuje każdego członka rodu od niezliczonych pokoleń, pociągając za sobą ciągle nowe ofiary.

Jakby dla ilustracji, tłumaczy mi Arab w średnim wieku, przykucnięty przy ścianie celi, który odsiaduje karę 10-letniego więzienia: „Przyjechałem z Chicago, bo jako najstarszy syn rodziny Dżenin musiałem zemścić się na Ibrahimie Salak al Effendi, gdyż jego bratanek zasztyletował mego szwagra we wsi Tyra". — „A cóż zawinił on — Boga ducha winien — Ibrahim Salak al Effendi? — pytam. „To bratanek — krzyczy podniecony dżentelmen arabski, a towarzysze jego, podnosząc ręce, wołają z namaszczeniem: „Jiś Allah" — Boże wspomóż.

Naturalnie liczba skazanych na śmierć Arabów z powodu ostatnich rozruchów jest znaczna. Robią wrażenie uspokojonych, czy też z wschodnią rezygnacją znoszących swój los. Mają osobną celę, a korzystają przy tym z dużej swobody. Poznać ich można po właściwym skazańcom zupełnie czerwonym ubiorze. Takie jest przepisowe odzienie tych nieszczęsnych; inne znów, bo brązowe noszą dla odróżnienia ci, którzy usiłowali uciec. — Skazańcy, przeważnie młodzi i biedni Arabowie, są rozmowni i złorzeczą przywódcom, którzy ich obałamucili. „Dopiero tu dowiedzieliśmy się od naszych starszych kulturalniejszych współwyznawców że meczety jeszcze stoją, że Żydzi wcale nie wydali 900.000 wyroków śmierci na Arabów, że Żydzi nie zagarnęli wcale świętych miejsc muzułmańskich, że nie połknęli jeszcze całej Arabii z Mekką" itd. itd. Dopiero tutaj objaśnili im właśni rodacy, a to ci, co należą do Histadrutu, jakie z tej instytucji ciągnęli korzyści, że otrzymywali pożyczki, sięgające nieraz 30 funtów.

Jedyna demonstracja — opowiada mi najstarszy z nich — na jaką mogliśmy się zdobyć, odbyła się, gdy w pierwsze dni Ramadanu przyszli do nas ci — in andina — (przekleństwo) „przywódcy" i chcieli z balkonu do nas przemawiać, wtedy wygwizdaliśmy ich, a jedzenie, jakie nam przysłali, wyrzuciliśmy. Wybraliśmy jedynie czekolady, na których opakowaniach widniał napis „Bet Haroszet Eden, Ramat Gan" i te wspólnie z Żydami skonsumowaliśmy.

Długo rozmawiam z nimi. I mimo tragicznej sytuacji moich rozmówców nie mogę stłumić uśmiechu. Po prostu nie chcą mnie wypuścić i tłumaczą zawzięcie i przekonywują mnie jak to mufti ich oszukał jak ich przywódcy arabscy okłamywali, co im za niestworzone rzeczy opowiadali i w ogóle repertuar ich przekleństw w stosunku do muftiego i jego towarzyszy, jest niezrównany i odbija od serdecznego tonu, z jakim się do mnie zwracają „Jahabibi! Jasidi! Kulo arabi zyft! In andina mufti. Szalom! (Drogi, miły — wszyscy Aarabowie do luftu, na pohybel muftiemu) — żegnają mnie ofiary Najwyższego Komitetu Arabskiego.

W tem wprowadza się nowego więźnia. „Msiane eś?" (za co?) — rozlegają się pytania towarzyszy. „Biświl jahud" — odpowiada przybysz na pół po hebrajsku, prawdopodobnie na mój widok. W odpowiedzi słyszy stek przekleństw arabskich, jak najbardziej soczystych, a na dodatek otrzymuje kilka epitetów hebrajskich: „mnuwel, pere adam, niwze, szote, smartut itd. wraz z tradycyjnym „in andina".

Tak oto witają dziś Arabowie uczestników rozruchów. Witają *ci*, których odseperowano na kilka tygodni od „przywódców" i którym dano możność zetknięcia się z ich „kulturalniejszymi i starszymi współwyznawcami".

*

Cele — to zazwyczaj dwuokienne izby o kamiennych podłogach. W kącie znajduje się cała pościel, składająca się z grubego chodnika, zwanego po arabsku „bursz" i 3-ch koców. Żydowskie cele odróżniają się od innych tym, że obok pościeli stoi etażerka z książkami hebrajskimi, które obok duchowych przynoszą także rzeczy inne korzyści, bo służą jako schowek na papierosy, listy i fotografie.

Gościnny rząd palestyński nie zapomina też o cudzoziemcach, dla których przeznaczył specjalną celę „jahes mejuchad" z łóżkami i lepszym wiktem oraz prawem do własnej, nie więziennej odzieży. Prawo do tej celi nabywa się na podstawie szczególnej klauzuli od sędziego. Trzeba przyznać, że Żydzi są częstymi pod tym względem „wybrańcami losu".

I tu, jak i w zwykłych celach, siedzą Żydzi, których całym przestępstwem jest, że chcieli dotrzeć do swego kraju i bronić go przed atakiem podjudzonego tłumu. A więc obok obrońców z czasu rozruchów, ogromna liczba t. zw. nielegalnych. (Przestępców pospolitych rzadko spotkać wśród Żydów). Serce krwawi się na widok tych „przestępców", którzy usiłowali osiągnąć sercem umiłowany kraj swój choćby przy pomocy wizy tranzytowej. Są to zazwyczaj ludzie, którzy spalili za sobą w Galucie wszystkie mosty, a teraz nie widzą żadnej drogi przed sobą. Ledwo udało im się spojrzeć na szczyty Karmelu i Hadaru z portu haifskiego, już zostają załadowani, po odsiedzeniu kary, na okręt, który ich odwozi z powrotem wśród wołania rodaków z wybrzeża „Lehitraot hawejrim. Al Titjaejszu" i złamanym głosem śpiewają „od lo awda tikwatejnu".

Ze wzruszeniem wysłuchuję opowiadanie pewnego gafira: — „23 lata mieszkam w Erec. Pilnowałem teraz ziemi narodowej K. K. L. — Stałem krytycznej nocy z karabinem w ręku, gdy nagle zauważyłem, jak Arabowie zrywają parkan, okalający naszą posiadłość. Patrzę i wołam: Hej! Po arcejnu! Ta zuz mikan" (tu nasza ziemia, wara stąd), gdy nagle druga grupa wali się na mnie z nożami. Niema co: otwieram ogień. — Sam obandażowałem jednego z napastników i sam go odwiozłem do lekarza. Dostałem 8 miesięcy.

*

Traktowanie więźniów jest na ogół dobre. W obrębie budynku mają oni sporo swobody; Niemniej przepisy dyscyplinarne są surowo przestrzegane, w szczególności, gdy chodzi o przestępstwa przeciw nadzorującym Anglikom. Trzeba wiedzieć, że w przepisach obowiązuje jeszcze kara chłosty, stosowana zresztą niekiedy jako kara sądowa za drobniejsze przestępstwa. Przyznać trzeba, że nie stosuje się jej wobec Żydów, ani wobec cudzoziemców.

Właśnie miałem sposobność przyglądać się takiemu „aktowi sprawiedliwości". Rozległe podwórze więzienne zaludnia się w myśl przepisów wszystkimi „mieszkańcami": wszak ma to być przykład odstraszający. Straż prowadzi delinkwenta, który odważył się uderzyć sierżanta angielskiego kijem — i przymocowuje go, wyprężonego do dwóch słupów, ustawionych na środku podwórza. Delinkwent ma obnażone plecy, a jedynie kark i okolice nerek owinięte są szmatami dla ochrony. Arabski policjant bierze dużą nahajkę, obficie zaopatrzoną w węzły i macza ją w naczyniu ze słoną wodą, a potem na rozkaz komendanta one, two, three, wykonywa z rozmachem i geometryczną precyzją półkole w kierunku pleców nieszczęśliwca — i to dwanaście razy. Mdło robi się na widok krwi, cieknącej, przerażają też ryki nieszczęśliwca, który po tym wszystkim nie wydaje się jednak zbyt skruszonym i na odchodne odgraża się pięściami wysokiej władzy.

Względnie łagodniej wygląda wymiar kary w stosunku do nieletnich, których kładzie się na ławkę i bije się w pośladki, przykryte mokrą szmatą, jednak bijący trzyma książkę pod ramieniem, aby rozmach był mniejszy, zresztą, wykonywa tylko ruchy krótkie w linii prostej, bez używania słonej wody.

Co uderza przy więziennictwie palestyńskim, to brak personelu żydowskiego; ale ten brak dałby się jeszcze przeboleć, gdyby więzienia palestyńskie nie kryły w sobie tylu tragedii Żydów. Ufać wszelako należy, że nie zmogą nas mury więzienne i nie przeszkodzą w realizacji naszego celu, znikną kiedyś „akty sprawiedliwości", wykonywane w podwórzach więziennych.

Nie kto inny, jak rząd, dopuścił do tego, aby w społeczeństwie arabskim zapanował niepodzielnie teror, któremu nie śmie się przeciwstawić nikt, aby zapanowało przeświadczenie, że rząd patrzy na wszystko przez palce. Jest już późno, ale jeszcze nie za późno, aby ujawnieniem wyraźnej woli rządu ku zrealizowaniu Żydowskiej Siedziby Narodowej przy jednoczesnym zaspokojeniu rzeczywistych potrzeb masy arabskiej położyć kres krwawym rządom muftiego i effendich.

Trudno uwierzyć, aby Komisja Królewska zaryzykowała tak nieszablonowe zalecenie. Effendi'owie rządzą właściwie w całym świecie arabskim, a sceptycyzm odnośnie prawdziwej wartości t. zw. solidarności pan-arabskiej lub pan-islamskiej i siły Arabów lub Islamu wprawdzie wzrósł w Anglii, ale, czyżby już tak bardzo?

W tych warunkach, kiedy recepta arabska jest nie do przyjęcia, recepta administracji wydaje się nieskuteczna, a recepta żydowska zbyt ryzykowna, cóż dziwnego, że konsylium, zasiadające bezradnie nad łożem chorego, gotowe jest szukać wyjścia w operacji chirurgicznej? Odwaga rodzi się nie zawsze z męstwa, czasem także z bezradności. Nie możemy rozwikłać tego węzła gordyjskiego, przetnijmy go. Nie wiemy, jak urządzić, żeby Żydzi i Arabowie żyli razem w pokoju w Palestynie, — rozetnijmy tedy Palestynę.

Jest to niestety skok z deszczu pod rynnę. Jeżeli projektodawca podziału Palestyny liczył na to, że zjedna dla swego projektu jeśli nie poparcie, to przynajmniej tolerancję Żydów, których projekt kusi samodzielnością polityczną, przedstawicielstwem w Lidze Narodów („właśnie wakuje jedno miejsce — po Abisynii", powiedział na to Usyszkin), swobodą imigracji do „ich" części Palestyny itd., — mógł się już przekonać, że był w błędzie. Palestyna nie jest Żydom potrzebna po to, aby mieli swoje własne San Marino z prezydentem, rządem, sejmem i mundurami, ale po to, by każdy Żyd, który szuka ojczyzny, mógł ją tu znaleźć. Jeśli tak sprawa stoi, trudno zamienić kraj, w przeważającej swej części jeszcze nie rozwinięty, na małą jego część, i to właśnie tę, która już jest najdalej zaawansowana i najbardziej wyzyskana, choćby nawet na osłodę był dodany fotel w Genewie.

Kto się łudził, że Arabowie przyjmą projekt podziału Palestyny życzliwie, ponieważ oddaje on wprawdzie Żydom to, co już Żydzi faktycznie mają, ale zachowuje całą prawie resztę niepodzielnie dla Arabów, — także się gorzko zawiódł. Z jednej strony wierzą jeszcze Arabowie, że koło historii da się obrócić wstecz, i nie są gotowi zrezygnować z żydowskiej części Palestyny. Z drugiej —i to jest może ważniejsze (sic!) — nie ma obecny dyktator palestyński, Jego Eminencja mufti Jerozolimy, żadnej ochoty stać się poddanym Jego Wysokości emira Abdalli z Transjordanii, przyszłego króla zjednoczonej Palestyny arabskiej i Transjordanii.

Także Wysoki Komisarz sprzeciwia się tym projektom. Zdaje on sobie bowiem sprawę z tego, że praktyczna realizacja ich prowadzi do niebywałych trudności. Nie sposób sobie wyobrazić fantastyczniejszej granicy, niż ta, któraby miała oddzielić żydowską część Palestyny od arabskiej. Są miejsca, gdzie w ogóle nie sposób takiej linii przeprowadzić. Co zrobić z Jaffą? Zostawić ją w państwie żydowskim? Przeprowadzić „kurytarz"? Oto jedna tylko próbka. Można przytoczyć więcej. A poza tym trudności z podziałem kolei, ceł, poczty, jednym słowem: z rozcięciem na dwie części jednego organizmu. Nie, „geograficzne" rozwiązanie problemu palestyńskiego stanowczo nie wygląda zachwycająco.

Obawiam się, że po balonie próbnym rozdziału Palestyny jest Komisja Królewska jeszcze bardziej bezradna, niż przedtym.

Tel-Aviv, 17.4.37.

Władysław Konic

Szymon Askenazy -- postać tragiczna

(Z powodu wydania „Szkiców i Portretów"*)

W czasach najsilniejszego antysemityzmu, grono uczniów zmarłego historyka zdobyło się na czyn szlachetny i godny uwagi. Chcąc uczcić wiekopomne zasługi swego mistrza, postanowiło wydać prace jego, które dotąd były jeszcze nieopublikowane, względnie drukowane tylko w pismach i czasopismach. Fakt ten dowodzi, że rasizm, który jest tak silnie propagowany i ma niestety tak wielkie powodzenie wśród szerszych sfer społeczeństwa polskiego, nie zdołał przeniknąć do pewnych sfer intelektualnych—uczonych historyków, którzy pomni zasług profesora Szymona Askenazego, pragnęli chociaż w drobnej części, spłacić mu dług pośmiertny za jego spuściznę duchową.

O zmarłym profesorze Askenazym nie ukazało się dotychczas niestety w prasie żydowskiej żadne wspomnienie, które byłoby poświęcone jego działalności naukowej. Natomiast stwierdzić muszę z żalem, że prasa żydowska zajmowała się raczej szczegółami życia rodzinnego zmarłego, podając zgoła zupełnie nieprawdopodobne wersje. W chwili, kiedy grono uczniów (obecnie profesorów wyższych uczelni) opracowało wiele bardzo serdecznych monografii i wspomnień pozgonnych, można napisać już szkic o działalności politycznej, historycznej i stosunku do żydostwa zgasłego wielkiego historyka.

Szymon Askenazy urodził się w Zawichoście w domu swego dziadka, ojca matki, w roku 1867. Pochodził z jednej z najstarszych i najbardziej zasłużonych rodzin żydowskich. Protoplasta rodu Askenazych, przybył do Polski w połowie XVI wieku z Hiszpanii; pełnił on funkcję nadwornego lekarza Zygmunta Starego i jego małżonki. Później wyemigrował z Polski do Turcji, gdzie był jednocześnie lekarzem sułtana i dyplomatą. Z antenatów rodu Askenazych odgrywał wybitną rolę w wieku XVIII-ym Chacham Cwi, rabin lwowski, który cieszył się autorytetem nie tylko wśród całego żydostwa polskiego, ale był też bardzo poważany w sferach magnackich i wśród wyższego kleru katolickiego. Do tego swego pradziada był zmarły profesor niezmiernie podobny, nie tylko zewnętrznie, ale posiadał też wspólne cechy charakteru: silną wolę, energię i dumę rodową. Ojciec zmarłego Szymona Askenazego, Wolf, był kupcem drzewnym, posiadał obok wychowania świeckiego, rozległą wiedzę judaistyczną i był bardzo poważany, jako człowiek nauki, obdarzony ponadto walorami wysokiej etyki. Do końca swego życia zasiadał jako członek komitetu zgromadzenia Wielkiej Synagogi na Tłomackiem. Dbał bardzo o wychowanie jedynego syna i obok edukacji, którą pobierał Szymon Askenazy, w II-em gimnazjum w stolicy, otrzymał staranne wykształcenie judaistyczne. Dzięki temu kierunkowi wychowania Askenazy był przez całe swe życie przywiązany do tradycji religijnej żydowskiej i miał zawsze zamiłowanie do badania historii Żydów. Po ukończeniu gimnazjum, zgodnie z życzeniem ojca swego, wstąpił Askenazy na wydział prawny Uniwersytetu Warszawskiego, jednocześnie pracując na polu historycznym. Jako osiemnastoletni student II kursu pisywał do „Ateneum" i „Biblioteki Warszawskiej". Po otrzymaniu dyplomu magistra praw, za napisanie rozprawy o Polityce Encyklopedystów, aplikował przy Sądzie Okręgowym Warszawskim, lecz do pełnienia zawodu adwokackiego nie miał wielkiego zamiłowania. Zbyt silne czuł zainteresowanie do badań historycznych, a w szczególności do prac nad historią Polski. To też, jako syn zamożnego ojca, otrzymał odeń odpowiednie środki materialne i wyjechał do Getyngi, niewielkiego miasta położonego u stóp gór Harcu.

Getynga cieszyła się od wielu lat tradycją kuźni historycznej; na katedrach historii zasiadali dziejopisowie niemieccy, otoczeni zasłużoną sławą. Askenazy był uczniem Rahnkego i Lehmana. Szczególnie do prof. Lehmana czuł nie tylko szacunek za jego wszechstronną wiedzę, ale szczerze go miłował za przychylny stosunek do sprawy polskiej. Pod kierunkiem profesora Lehmana napisał Askenazy swą dysertację doktorską pod tytułem „Die Letzte Polnische Königswahl". W pracy tej przedstawił stosunki, jakie panowały nie tylko w Polsce, ale we wszystkich krajach Zachodniej Europy. Odsłonił intrygi mocarstw, które już wówczas planowały podział Rzeczypospolitej (Prusy i Rosja).

Następnie odbył Askenazy wiele podróży po krajach zachodniej Europy, pracując w archiwach i bibliotekach, zbierając skrzętnie materiały do sprawy polskiej. Dzięki tym wysiłkom prace drukowane przez Askenazego oparte były na źródłach dotąd zupełnie nieznanych dla dawniejszego pokolenia historyków polskich i wniosły do historiografii polskiej wiele nowych i bardzo ciekawych szczegółów, odnoszących się do epoki czasów rozbiorowych oraz do okresów późniejszych z czasów Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego.

Pierwsze jego prace poświęcone były epoce saskiej, w której orientował się z mistrzostwem niezrównanym. Jego charakterystyka obydwu panujących, Augusta Mocnego i syna jego Augusta II, stanowi arcydzieło monograficzne i biograficzne. Odsłonił Askenazy korupcję dworaków i przekupstwo dworów magnackich, które przyczyniły się do bezrządu, w jakim się wówczas Polska znajdowała. A pisał Askenazy pięknym stylem, dostępnym nie tylko dla wybranej garstki naukowców, ale tak zajmująco i barwnie, że prace jego stanowiły ulubioną lekturę szerszych sfer czytelników, przeważnie z warstw inteligencji.

Mieszkał Askenazy do roku 1897 w Warszawie. Dopiero w końcu roku 1897, dzięki staraniom księcia Leona Sapiehy, udało się uzyskać dla niego docenturę historii powszechnej nowoczesnej na uniwersytecie lwowskim. W tymże roku wydał pracę z ostatnich lat panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego p. t. „Przymierze polsko-pruskie". Jako motto do tej pracy dał ustęp z przemówienia Ignacego Potockiego, broniącego się na sejmie warszawskim przed zarzutami opozycji, będącej na żołdzie rosyjskim: „A lubo, co do skutku, na jedno wypada, czyli zdrada pochodzi z wczesnego podstępu, czyli ze zmienności, jest wszelako różnica między tymi, którzy uwodzić się dają obrotom złej wiary, a tymi, którzy zawód cierpią z niestałości, bądź osób, bądź rzeczy na świecie. Pierwszych o własną nieroztropność, drugich za los przeciwny, lub za cudze chyba przestępstwa winować można".

Askenazy twierdził stale w swych pracach, że Polska upadła nie przez swą niemoc wewnętrzną i przez anarchię i przekupstwo, jak utrzymywali historycy Szkoły Krakowskiej, Kalinka, Tarnowski i Bobrzyński, ale że znajdowała się geograficznie między trzema potęgami, które ją zgubiły. (Rosja, Prusy i Austria).

W walce ze szkołą krakowską Askenazy odniósł całkowite zwycięstwo. Wykazał, że Polska za czasów Poniatowskiego znajdowała się na wyżynach rozwoju umysłowego. Podniosło się wówczas rolnictwo, handel i przemysł zaczął stawiać pierwsze swe kroki. Zaczęło dorastać nowe pokolenie, wychowane w szkole kadetów i konwiktu Pijarskiego. Konstytucja 3-go Maja była jednym z najpiękniejszych aktów politycznych jako świadectwo tolerancji i światłego umysłu tych, którzy przyczynili się do stworzenia tego pięknego dokumentu postępu.

W późniejszych swych pracach Askenazy zainteresował się epoką Księstwa Warszawskiego. W tych to czasach napisał przepiękną książkę, poświęconą bohaterskiej postaci księcia Józefa Poniatowskiego. Jest to arcydzieło zarówno w sensie pracy historycznej, jak i stylu i formy. Nikt nie potrafił w tak prosty a zarazem w tak piękny sposób naszkicować postaci bohaterskiego wodza — jak uczynił to Askenazy.

Ostatnie prace jego poświęcone są wyłącznie prawie epoce Królestwa Kongresowego, którego Askenazy był nieocenionym znawcą.

Szereg monografii „Z działalności ministra księcia Lubeckiego" oraz z działalności ministra generała Wielhorskiego" uwydatnił i podkreślił wysoki poziom umysłowy i ekonomiczny dawniejszego Królestwa.

W pracy napisanej na zamówienie Cambridge Modern History p.t. „Rosja—Polska" wykazał Askenazy wyższość umysłową, gospodarczą i militarną b. Królestwa Kongresowego nad wszystkimi krajami dawnej Rosji.

Najpoważniejszym wszakże dziełem, odnoszącym się do czasów Królestwa Kongresowego była dwutomowa obszerna praca p. t. „Łukasiński".

W pracy tej, pisanej w roku 1907-ym, odsłonił Askenazy tajniki polskich spisków niepodległościowych, których bohaterem był „szary major" 4 pułku piechoty, Walerian Łukasiński. Wykazał złą wolę cesarza Aleksandra I, który łamał na każdym kroku konstytucję, deprawując kraj zapomocą kliki biurokratycznej, z Nowosilcowem na czele.

Ukazanie się „Łukasińskiego" uczyniło olbrzymie wrażenie, w szczególności wśród kół młodzieży i dziwnym trafem, jak podaje prof. Marian Kukiel, w kilka miesięcy po wydaniu tej książki, powstaje związek strzelecki.

W roku 1907-ym został Askenazy mianowany profesorem zwyczajnym uniwersytetu lwowskiego; dotąd wykładał jako profesor nadzwyczajny. Nominacja ta wywołała wielkie wzburzenie wśród sfer konserwatywnych, które czuły się dotknięte w godności narodowej, że Żyd został profesorem historii polskiej.

Jako profesor był znakomitym wykładowcą i umiał wpoić swym słuchaczom miłość do Polski i wzbudzać nadzieję, że okres niewoli jest tylko przejściowy.

Wykłady jego zawsze były rewelacyjne. Pełno w nich było szczegółów, zupełnie nieznanych. Mówił przytem pięknym stylem i zawsze z pamięci, a dopiero pod koniec roku dyktował swym uczniom odpowiednie notatki i instrukcje. Dbał bardzo o swych uczniów, wyjednywał dla nich subsydja na wyjazdy zagranicę, sam osobiście z własnych funduszów szczodrze wspomagał niezamożnych, czyniąc to w sposób dyskretny, aby nikogo nie dotknąć. Interesował się życiem prywatnym swych uczniów, zawsze przychodził z radą i pomocą. Wydawał ich prace w specjalnym wydawnictwie p. n. „Monografje zakresu dziejów nowożytnych Polski". Ukazało się tomów tych prac blisko dwadzieścia, każdy poprzedzony przedmową Askenazego.

W ten sposób powstała szkoła historyczna Askenazego, z której wyszli wszyscy prawie najwybitniejsi historycy współcześni: Władysław Konopczyński, Marian Kukiel, Henryk Mościcki, Włodzimierz Dzwonkowski, Adam Skałkowski, Michał Sokolnicki, Natalja Gąsiorowska, Emil Kipa, Maciej Loret, Janusz Iwaszkiewicz, Bronisław Pawłowski, Eugeniusz Wawrzkiewicz oraz wielu innych.

Większość z nich dziś już posiada katedry uniwersyteckie, lecz w pracach swych wzoruje się na metodach naukowych Askenazego.

Tuż przed wybuchem wojny ukończył Askenazy pierwszą część swej największej pracy „Napoleon a Polska". Wyszły wszystkiego trzy tomy w roku 1918-ym.

Bieg wypadków nie pozwolił wykończyć tego tak wspaniałego dzieła. Wybuchła wojna w roku 1914 i Askenazy znalazł się w chwili kataklizmu dziejowego w Szwajcarii, gdzie co rok spędzał wakacje. Tu wespół z Sienkiewiczem i Ant. Ossuchowskim zorganizował Komitet Polski, który zajął się najpierw zbiórką pieniędzy na rzecz poszkodowanych ofiar wojny w byłym Królestwie Kongresowym, następnie, kiedy sprawa polska zaczęła nabierać aktualności — z jednej strony przez wydanie odezwy Wielkiego Księcia Mikołaja, a z drugiej strony przez enuncjacje mocarstw centralnych, Askenazy nie przestawał kontynuować na olbrzymią skalę zakrojonej akcji propagandy sprawy polskiej w pismach i periodykach wydawanych w Szwajcarii. Artykuły te później wydał w zbiorowej pracy p. t. „Uwagi".

W „Uwagach" tych zwalczał tendencje moskalofilskie endecji i ostrzegał równocześnie przed nieszczerymi intencjami mocarstw centralnych.

W połowie roku 1918 wraca Askenazy do Warszawy, zaczyna brać udział w życiu politycznym i w tym przełomowym okresie oddaje nieocenione usługi swymi radami Radzie Regencyjnej. W roku 1920 zostaje powołany przez Rząd Polski z początku na stanowisko drugiego a w końcu pierwszego delegata Polski przy Lidze Narodów. Tu wykazał nie tylko talent historyka, ale również dokonał najtrudniejszych zadań jako dyplomata i polityk.

Zdobył sobie uznanie wszystkich dyplomatów, biorących udział w konferencjach.

Udało mu się wyjednać od Ligi Narodów Galicję Wschodnią, Wilno, Wolne miasto Gdańsk, a po plebiscycie zdołał dla Polski zdobyć najbogatszą część Śląska Górnego z bogatymi kopalniami, mimo, że pierwotnie chciano oddać Polsce tylko część rolniczą tej prastarej ziemi piastowskiej.

Jednak prasa endecka nieustannie prowadziła przeciwko niemu nagonkę, zarzucając mu, że działa jako sługus międzynarodowego kapitału, że jest na żołdzie massońskim. Askenazy wytrwał na swym trudnym stanowisku, aż do czasu, gdy mianowany został za rządów Chieno-Piasta ministrem spraw zagranicznych — Marian Seyda.

Askenazy nie chciał współpracować z rządem, który był nawskroś wstecznym i zażądał dymisji. Dymisja została przyjęta. Murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść.

Powrócł do kraju i chciał się oddać swemu zawodowi jako profesor historii. Lecz tu nastąpiła jego tragedia: senat uniwersytetu warszawskiego większością głosów na skutek intrygi jednego z profesorów historyków (zresztą neofity) odrzucił jego kandydaturę. Liberalni profesorowie Petrażycki i Boduin de Courtenay chcieli stworzyć dla niego katedrę dyplomacji na wydziale prawnym, lecz sprawa, zatwierdzona na wydziale, upadła w Senacie.

Cios ten dotknął Askenazego tak bardzo, że wycofał się z życia politycznego i społecznego. Nie dokończył prac, których rozpoczął. W roku 1928-ym chciano naprawić krzywdę, którą mu wyrządzono, i mianowano Askenazego profesorem honorowym Uniwersytetu Warszawskiego z prawem wykładania. Lecz Askenazy zaniechał pracy profesorskiej. Kilka lat temu grono uczniów pragnąc uczcić dorobek tak wartościowej pracy, wysunęło kandydaturę Askenazego do nagrody literackiej miasta Warszawy. Askenazy nagrodę tę uzyskał, pieniądze przeznaczył na cele społeczne, ale nie uważał, iż to wyróżnienie może powetować zadane mu poprzednio ciosy.

Askenazy po powrocie z Szwajcarii zaczął zapadać na zdrowiu. W ostatnich miesiącach, pogrążony w rozczarowaniach skarżył się przed bliskimi sobie uczniami, że cała jego praca — tu wskazywał na bibliotekę — nie doznała uznania właśnie w wolnej Polsce, dla której pracował i o której w najcięższych chwilach marzył.

Jak wspomina uczeń zmarłego, prof. Bronisław Pawłowski, — niestety w wolnej Polsce nie znalazło się miejsce dla wielkiego uczonego, któryby mógł z pożytkiem dla nauki polskiej pracować. Dopiero po zgonie Jego (Askenazy zmarł 22 czerwca 1935 r.) w artykułach poświęconych Jego pamięci, wszyscy jednogłośnie stwierdzili, że był to największy historyk Polski współczesnej.

Za życia wytykano mu jego żydostwo, którego nigdy nie ukrywał, ani się go nie wstydził.

O stosunku prof. Askenazego do żydostwa niech mi będzie wolno w niniejszym artykule powiedzieć słów kilka i wymienić garść szczegółów dotąd przez prasę żydowską niepublikowanych.

Askenazy wychowywał się w epoce najsilniejszej asymilacji. Był to okres po powstaniu 1863 roku. Asymilacja wtedy panowała niepodzielnie w szerokich sferach inteligencji żydowskiej i w masach zamożniejszego mieszczaństwa. Askenazy był stale pod wpływem Henryka Wohla, skarbnika Rządu Narodowego, oraz szeregu wybitnych działaczy asymilatorskich. Wpłynęło to silnie na jego przekonanie. Lecz pogląd jego na sprawę żydowską nie był w duchu skrajnej asymilacji, reprezentowanej przez takich ludzi jak n.p. Kempner, Jakób Kirszrot, Samuel Dickstein, Henryk Nusbaum, Kazimierz Sterling, którzy pragnęli Żydów utopić w morzu zupełnej zagłady.

W roku 1912 Askenazy założył wespół z gminą żydowską w Warszawie kwartalnik, poświęcony sprawom żydowskim. Sam wydrukował dwie prace, poświęcone okresowi Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego. W pierwszej pracy gani ówczesną asymilację za to, że w petycji swej pragnęła dla siebie tylko równouprawnienia, a zapomniała o swych braciach — szerokich rzeszach żydowskich.

Dziś, gdy znalazła się garstka odważnych uczonych polskich, którzy podjęli się uczcić jego pamięć pośmiertnym wydaniem pozostałych prac — niechaj przynajmniej inteligencja żydowska hołd złoży duchowi wielkiego dziejopisarza. Ostatnia jego praca znajdzie się w bibliotece każdego oświeconego Żyda.

*) Biblioteka Polska 1937, 398 str. Wydanie pośmiertne.

Max Brod

TEODORA LESSINGA POWRÓT DO ŻYDOSTWA

Książki mają swoje przeznaczenie. Któż mógł powiedzieć, że autobiografia człowieka, który w ostatnich latach swego życia, a zwłaszcza tuż przed tragiczną swą śmiercią, był przedmiotem ogólnego zainteresowania — będzie kiedyś cieszyła się tak małym rozgłosem. Wszak wspomnienia Teodora Lessinga, zawarte w publikacji jego „Raz i nigdy więcej" (wyd. Henri Marcy ego, synowiej)— to jedna z najbardziej ciekawych, uduchowionych i dziwnych książek, które kiedykolwiek napisano. Gdyby ta książka nie zawierała nic ponad opisy monachijskiego życia literackiego z ostatnich lat dziewiętnastego wieku, z okresu t. zw. „finde siecle" — już wówczas byłaby z punktu widzenia literackiego zjawiskiem wybitnie charakterystycznym, interesującym każdego czytelnika. Jakaż galeria wspaniałych postaci! Stefan George, Klages, Max Scheler, hrabina francuska Reventlow, von Wolws Kehl, Borchardt, Omar Al Raschid Bey — i ta cała ogromna rzesza pisarzy, zgrupowana dokoła centralnej postaci wielkiego George'a. Nic więc dziwnego, że komukolwiek doradziłem przeczytanie książki — o lekturze wyrażał się z entuzjazmem i nie mógł się od niej oderwać. Ileż w niej fascynujących anegdot, jaka wspaniała plastyka zagadkowych lecz żywych postaci, z którymi czytelnik poprostu osobiście obcuje jak z żywymi istotami. Lecz książka mimo tych wszystkich zalet, nie osiągnęła dotychczas zasłużonego rozgłosu.

Również czytelnik żydowski nie zdołał się jeszcze dotychczas zorientować, że autobiografia Lessinga zawiera niezwykle cenne i ważne przyczynki do poznania żydowskiej duszy wielkiego filozofa. Najważniejszym przeżyciem z lat młodzieńczych Lessinga była jego przyjaźń z Ludwikiem Klages, z obecnym teoretykiem narodowo-socjalistycznej ideologii, jednym z najgorętszych wyznawców hitlerowskiego reżymu. Wstrząsający jest opis walki Lessinga o przyjaźń swego rówieśnika, o przyjaźń, — która rozpoczęła się w pierwszych latach dzieciństwa na ławie szkolnej; a wytworzyła w przyjaciołach wspólne idee i wspólne na świat spojrzenie. A potem przyjaźń obróciła się w niwecz. Brutalnie odtrącił od siebie Klages Teodora Lessinga. Krew mrozi w żyłach opis ostatniego spotkania z dotychczasowym druhem. „Jesteś paskudnym, natrętnym Żydem" — pisał Klages do swego przyjaciela, którego dotychczas przed wszystko cenił. Lecz jeszcze nie koniec tragedii: Klages milczy, gdy kula mordercy przebija serce Lessinga i wówczas stara otrząsnąć się z wpływu jego filozofii. W tych perspektywach — w jakże pięknym świetle maluje się postać Lessinga, który do ostatniej chwili swego życia z miłością wspominał o wspólnych latach młodości i stara się obiektywnie ocenić twórczy dorobek swego kolegi. W tym ideowym sporze, który poróżnił dwóch przyjaciół — jedynie Lessing występuje w aureoli prawdziwego szlachectwa, Klages zaś gra rolę nienawistnego i bezwzględnego partacza. Konflikt ten przypomina spór Wagnera z Mayerbeerem. Należy tutaj wspomnieć, że Klages Wagnera i Stefana George'a uważa za przedstawicieli ostro przez niego zwalczanego semituryzmu. Curiosum!

W jakich formach objawiły się w twórczości Klagesa pojęcia: semita i aryjczyk. Analityczny, krytyczny, destrukcyjny duch — oto pojęcia Żyda. Rozsadza on naiwną wartość życia, zabija symbol, obraz, siłę przebojową, charakterystyczną dla aryjczyków i będąca najwyższą wartością człowieczeństwa. Ta teoria jednak, którą Ludwik Klages systematycznie rozbudowywał, a która stała się duchowym fundamentem niemieckiego antysemityzmu i narodowego socjalizmu — nie pochodzi od Klages'a lecz od Teodora Lessinga. W jednym z rozdziałów swej książki („Moje stosunki z Ludwikiem Klages") stara się Lessing odnaleźć punkty styczne swojej filozofii z wywodami przyjaciela, lecz nic nie wspomina o tym, że ta teoria, będąca w zasadzie antyżydowska, powstała z jego własnych założeń o żydowskiej „samonienawiści". Lessing ostro te wywody potępia. Nieprawdą jest jakoby — jak to twierdził Lessing a po nim Klages — duch był „pasożytem życia", jakoby ludzkość chyliła się ku upadkowi dzięki „nadmiarowi ducha". Raczej należałoby stwierdzić, że w dzisiejszym krwawym chaosie świata, ludzkość ginie z powodu zbyt wybujałego rozkwitu mistyki, bezwzględnej przemocy, i braku duchowej systematyki. Ale i ta teoria jest tylko subiektywną wartością epoki. Obiektywnie zaś stwierdzić trzeba, że duch i żywa natura są sobie wprawdzie przeciwne, ale też wspomagają się wzajem i są zdane na obopólną pomoc. Jest to podstawową tezą żydostwa i wszelkiej flozofii życiowej, jak to wykazał zresztą Felix Weltsch w swej książce „Wagnis der Mitte". W tym splocie poglądów najważniejszy jest fakt, że Teodor Lessing uważał za konieczne skorygować swoje poprzednie wnioski, dotyczące pojęcia żydostwa. Na przestrzeni kilku lat (1928—1932) począł powracać Lessing do żydostwa, które w jego świadomości nabiera wartości coraz bardziej pozytywnych, wzniosłych, twórczych, jednolitych: „Przez całe moje życie musiałem słuchać wyzwisk i obelg, że jestem naturą destrukcyjną, negatywną, że nie jestem „niemiecki", że jestem obcym przybyszem, że w mych żyłach płynie obca krew, że nie jestem żywiołem i życiem, krajobrazem i krwią, lecz jedynie głosicielem zaborczych idei ducha. Tysiące razy obijały się o moje uszy „Żydzie", „Żydzie", słowa pojmowane jako przezwisko; tysiące razy wznosiły się nademną nienawistne pięści. Lecz w głębi mojej duszy wiem: posłannictwem człowieka jako człowieka jest zamienić chaos w harmonijny kosmos, a destruktywność i „negatywność" są jedynie wartościami przeklętej romantyki, przemocy".

Książka Lessinga rzuca niezwykle jasny snop światła na poznanie duszy człowieka, kroczącego powoli ku żydostwu. Z książki tej poznajemy w pełni gorący i ognisty, wulkaniczny temperament Teodora Lessinga oraz ciekawe przejawy żydowskiej nerwowości będącej udziałem zwłaszcza tych, którzy powracają do żydostwa i syjonizmu. Przynoszą oni żydostwu w darze niespodziewane problematy i zagadnienia, rozwiązują je dziwnym darem swej duszy, często do wielkiej swej misji nie przygotowani. Jasne światło rzucają na zawiły splot problematów, nad których rozwiązaniem często długie trawimy wieki. Wszak Lessing posiadał ów niezwykle wyostrzony dar błyskawicznego tworzenia syntez, często niekontrolowanych konkretnymi faktami, często zdobywanych irracjonalną siłą intuicji. Lessing tworzył swoje koncepcje w ogniu bezpośrednich doznań, w jakiejś niebywałej rozrzutności niespodziewanych koncepcyj. Ktokolwiek kochał Lessinga — ten ukochał system jego pracy. Wszak Lessing mawiał: „Ludzi i rzeczy poznajemy dopiero wówczas, gdy je kochamy". W tych kilku słowach mieści się cały Plato. Hebrajska Biblia tę samą prawdę zawarła. Zogniskowała ią w filologicznym pojęciu: „na określenie słów „kochać" i „poznać" posiada ona jedno i to samo słowo.

Lessing żydostwo ukochał.

LION FEUCHTWANGER

FAŁSZYWY NERON

POWIEŚĆ

12)

Postanowili rozegrać siedem zwykłych patryj. Po każdej partii odpoczywali dłuższą chwilę, podczas której kapadoccy niewolnicy masowali ich i ocierali, oni zaś rzucali kości, aby rozstrzygnąć, kto przy następnej partii ma podawać piłkę.

„Ten człowiek w świątyni Tarate, — rozpoczął podczas pierwszej przerwy Varro, mówiąc z całkiem oczywistym zaufaniem, — daje nam obu parę dobrych orzechów do zgryzienia, mój Frontinusie". Siedzieli na kamiennej ławce w słońcu, kapadoccy niewolnicy, którzy z pewnością nie rozumieli po łacinie, ocierali ich i namszczali, ciężka piłka leżała przed nimi. „Mnie nie, — odparł wesoło Frontinus i przesuwał piłkę między sobą i Varronem, — mnie ten człowiek w świątyni nie daje żadnych orzechów do zgryzienia. Otrzymuję wskazówki z Anntiochii i nie muszę się zastanawiać. To właśnie jest prerogatywa żołnierza." Varro, równie wesoły, odrzekł: „Prerogatywa, która nie raz drogo musi być opłacona. Wyobraź sobie, że nasz godny król Mallukh opowie się za owym człowiekiem w świątyni i wydobędzie go z azylu. Wówczas będziesz musiał usiłować dostać go w swe ręce. Wątpię, czy nasz Mallukh spokojnie patrzałby na to." „Doprawdy tak sądzisz?" — spytał Frontinus, na pół zamknąwszy powieki i mechanicznie posuwając stopami piłkę. — „Czy nie przypuszczasz, że jedno energiczne słowo Rzymu wystarczyłoby, aby naszego Mallukha doprowadzić z powrotem do porządku?" „Sądzę, — zauważył Varro, — że gdyby nasz Mallukh, który jest na ogół spokojnym panem, miałby się istotnie zdecydować na uznanie tego człowieka z świątyni, toby się chyba przed tym upewnił, jakie siły stoją poza owym człowiekiem. Bo może stoją poza nim jakieś siły." „Partyjskie?" spytał Frontinus. Varro wzruszył ramionami. „Siły" — zadowolnił się odpowiedzią.

Grali następną partję. W następnej pauzie rzekł Frontinus: „Nie mogę sobie wyobrazić, że człowiek przy zdrowych zmysłach, opowiedzieć się może za tym garncarzem, nawet gdyby „siły" miały tego garncarza popierać. Czy może człowiek o normalnym rozsądku przyjąć, że istnieje choćby najlżejsza nadzieja trwałego przeciwstawiania tego garncarza Terencjusza państwu rzymskiemu? Czy taka próba, bez względu na to, prez jakie „siły" podjęta, nie byłaby szaleństwem?" Przyjacielsko zatroskany, zukosa patrzał na Varrona rozumnymi, wiedzącymi oczyma. Siedzieli obok siebie na słońcu, piłki leżały u ich nóg. Po napięciu gry miło było odpoczywać, oddychając pod gniotącymi dotkinęciami Kappadocyjczyków. Piękne podwórze willi, przeznaczone na boisko, podzielone artystycznie na pola gier i obrazy trenującej młodzieży, zalane było słońcem. Głucho dobiegały ich uderzenia piłek innych graczy i ciche okrzyki, jakimi wzajem dawali sobie wskazówki.

„Gdzie kończy się ostrożność, — odparł w zamyśleniu Varro, — a gdzie zaczyna się tchórzostwo? Gdze kończy się odwaga, a zaczyna szaleństwo?" To ciekawy temat i wart chyba tego, aby dwaj mężczyźni, tacy jak ty i ja, zastanowili się nad nim. Pozwoliłeś mi, mój Frontinusie, czasami spojrzeć w twe myśli. Wiem zatym, że liczysz na rozsądną, wygodną starość przy biurku z dużą połacią ziemi i wysokimi poborami emeryta; wiem jednak również, że masz wyczucie czaru rzeczy nieobliczalnych, barwnych, awanturniczych, czy jak je zresztą chcesz nazwać. Zrozumiesz więc, że może mimo wszystko da się jednak pomyśleć, że król Mallukh, albo też owe „siły", popierające garncarza Terencjusza, dadzą się pociągnąć wbrew logice czarowi awanturniczości i poznają w człowieku ze świątyni cesarza Nerona. Czy wolno mi spróbować, mój Fronto, wmyśleć się w ciebie i jako Frontinus rozważyć, jak powinien wówczas postąpić dowódca rzymskiego garnizonu?" „Słucham" — odparł, śmiejąc się Frontinus; jego stopa w biało-żółtym sandale bawiła się piłką.

Varro jednak jął mu wyliczać: „Przede wszystkim mógłbyś postąpić, jak dzielny żołnierz, zrezygnować z własnych rozważań i poprostu starać się dostać w ręce tego Terencjusza. Co stałoby się wówczas? Król Mallukh, opowiedziawszy się już za „Neronem", nie mógłby tego ścierpieć. Rozporządzając całym swym talentem wojskowym, nie mógłbyś przeciwstawić się swymi pięciuset ludźmi jego dziesięciu tysiącom. Poległbyś demonstracyjnie i bohatersko — bohater ze szkolnych czytanek. Straszak ze swej strony nie mógłby ścierpieć zniszczenia garnizonu Edessy i musiałby „powziąć kroki". Król Partów zaś, Artaban, ze swej znów strony nie mógłby spokojnie patrzeć na przekraczanie Eufratu przez rzymskie wojska, zapewne powiodłoby mu się pod hasłem wojny obronnej pozbyć się swego rywala Pakora i zjednoczyć Partów. W rezultacie zatym: mielibyśmy znów wojnę z Partami." „Być może, — przyznał Frontinus. — Czyż nie są to jednak rozważania, którymi zająćby się powinni raczej ministrowie w Rzymie czy też rządzący w Antiochii namiestnik? Ja, mój Varronie jestem żołnierzem. W omawianym przez ciebie wypadku nie pozostawałoby mi nic innego, prócz, jak sam mówisz, bohaterskiej śmierci. Tymczasem jednak, chodźmy grać dalej." Potrząsnął kubkiem z kości. „Ty dajesz, mój Varronie," — stwierdził.

„Tym razem dobrze dałeś mi się we znaki," — rzekł z uznaniem po siódmej partii. Varro uśmiechnął się w podzięce. Frontinus wygrał pięć partyj, on zaś tylko dwie. „Pozwól mi, — zaczął po zaczerpnięciu oddechu, — że teraz wcielę się w króla Mallukha. Edessa jest, oczywiście, przynajmniej tak samo jak Rzym zainteresowana w uniknięciu otwartego, zbrojnego konfliktu. Król Mallukh zatym uczyni zapewne wszystko, aby dowódcy rzymskiego garnizonu dać możliwość niewykroczenia przeciwko dyscyplinie, pozostania ściśle w porządku, a mimo to nie czynienia kroków". „Mocniej, mocniej", — podniecał Frontinus masującego go Kappadocyjczyka. I „Czy mówisz ciągle jeszcze o przypuszczeniach?" — zwrócił się do Varrona. „Oczywiście, — spiesznie zapewnił Varro. — Stawiam sobie teoretyczne pytanie, co powinien uczynić dowódca rzymskiego garnizonu w wypadku, gdyby król Mallukh albo zresztą ktoś inny zrobił ostatnią próbę odnowienia na wschodzie polityki Nerona? Czy ma się poświęcić i próbę tę od pierwszej chwili unicestwić, ma spełnić swój „obowiązek", umrzeć heroicznie i narazić państwo na niebezpieczeństwo? Czy też — i teraz Varro uśmiechnął się lekko — trzymać się „elementarnych wskazówek", które jako oficer flawijskich cesarzy musiał sobie przyswoić: „lepiej nic nie przedsiębrać, niż postąpić niewłaściwie" i uchronić państwo przed wojną z Partami?"

Frontinus patrzał przyjaźnie na podnieconego Varrona. „Strasznie cię podnieca, — zauważył, — ten mój teoretyczny problemat". „Czy dziwi to takiego teoretyka, jak ty? — odparł Varro. — Uważam, że zagadnienie jest ciekawe. Kto jest lepszym człowiekiem? Czy ten, który w takim wypadku bohatersko i szkodliwie umiera, czy też ten, który nie po bohatersku, ale pozostając w porządku ze sobą daje się łagodną przemocą zmusić do zachowania neutralności?"

Frontinus lekkim, przyjacielskim ruchem położył mu dłoń na ramieniu. „Doprawdy nie powinieneś się tak przejmować tym podobnymi hypotetycznymi zagadnieniami, mój Varronie, — odparł z pewną serdecznością. — Ponieważ jednak, jak mówisz, zajrzałeś już mi raz do serca, pozwól, że zdradzę ci jeszcze więcej: zawsze celem moim było życie barwne, ciekawe, a jednak posiadające pięćdziesiąt i jeden procent pewności i emeryturę. Dane na emeryturę nam. Gdyby mi bogowie dodali do tego ową barwność, nieobliczalność i awanturniczość nie zmuszając mnie jednocześnie do utraty owych pięćdziesiąt i jednego procentu pewności, uważałbym to za nie zasłużone szczęście."

Varro z trudem starał się ukryć swe poruszenie: „Dosyć" — rzucił rozkaz niewolnikowi, który odszedł szybko i cicho. Ujął rękę Frontinusa. „Dziękuję ci za zaufanie, mój Frontinusie, — rzekł serdecznie. — To była rozmowa, jaką w myślach prowadziliśmy już od dwunastu lat. Cieszę się, że myśli znalazły wreszcie wyraz w słowach."

Frontinus wysunął rękę. Uprzejmie i ostrzegawczo podniósł palec: „Nie zapominaj, mój Varronie: wszystko to tylko hypotetycznie". Rzucił kości. „Znów ty dajesz, — stwierdził. — Ale uważaj, tę partję wygram mimo wszystko ja."

VARRO BADA SWĄ LALKĘ.

Terencjusz, którego Szarbil zapewnił, że opieka bogini rozciąba się na cały okręg, należący do świątyni, mieszkał teraz w domu arcykapłana. Miał do dyspozycji dwie duże komnaty, lepsze, niż należały się garncarzowi Terencjuszowi, znacznie jednak gorsze, niżby należały się cesarzowi Neronowi. Tu więc przebywał człowiek, na którym skupiła się stopniowo cała uwaga Międzyrzecza. Starał się jak i poprzednio, wydawać się obojętnym, jednak pełnym, tajemnego znaczenia człowiekiem. Łatwe nie było to bynajmniej, czuł bowiem, chociaż większość czasu spędzał w samotności, że jest zawsze pod obserwacją. Od czasu do czasu przychodził doń Knops i zdawał mu sprawę z tego, co działo się poza obrębem świątyni. Zręczny Knops robił to bardzo sprytnie. Nie dawał Terencjuszowi do poznania, że wie, wyświadczając mu w ten sposób wielką przysługę, wiadomości podawał w tonie pogawędki, jakby z góry przypuszczając, że chodzi o rzeczy, znane już jego panu.

Przez Knopsa również dowiedział się Terencjusz o powrocie Varrona. Spodziewał się, że senator natychmiast go odszuka. Varro jednakże uważał również i tym razem za wskazane możliwie długim czekaniem doprowadzić garncarza do uległości, aby nie stał się zarozumiały i nie wyślizgnął mu się z rąk. Nie zapomniał zdumienia, jakie wywołała w nim nagła, zdumiewająca przemiana Terencjusza w cesarza Nerona; również przezorna inteligencja, jaką Terencjusz okazał w ciągu długich tygodni czekania wymagała ostrożności. Varro zatem pozwolił mu drżeć i doprowadził do tego, że Terencjusz stał się niespokojny i niepewny.

Varro zjawił się wreszcie, znalazł mimo wszystko spokojnego i obojętnego człowieka. Senator nie zachowywał się jak patron wobec klienta, ale bynajmniej również nie odnosił się do Terencjusza jak do cesarza. Poza tym podejrzewał, że w domu Szarbila ściany mają uszy i wystrzegał się wypowiedzenia jakiegoś nieopatrznego słowa.

„Bogini Tarate, — zaczął, przyglądając się komnatom, — nieźle lokuje swych gości. W naszym złotym domu więcej było komffortu, chociaż czuć się dobrze może tutaj ten nawet, kto był przyzwyczajony do wszelkich wygód". „Bogowie nie dają ludziom, — zacytował w odpowiedzi Terencjusz jakiegoś greckiego tragika, — celem okazania ich godności lepszej drogi ponad cierpliwość". Varro uśmiechnął się z uznaniem dla tego gładkiego jak wegorz człowieka i dla jego umiejętności dawania dwuznacznych odpowiedzi. „Cierpliwość? — podjął. — Wielu jest już teraz ludzi, którzy sądzą, o czym mi raz napomknięto w domu, że jesteś kimś innym, nie zaś garncarzem Terencjuszem." Terencjusz patrzył mu prosto w oczy. „Może stałem się innym," — odparł spokojnie i znaczaco. Varro precyzował: „Poprzednio zatem byłeś garncarzem Terencjuszem?" Przez jakiś czas, — odparło to stworzenie, — podobało mi się być garncarzem Terencjuszem." Varro zauważył z lekka ironia: „Nieźle się w to wżyłeś". „Istnieją książęta, — odparł Terencjusz, — którym sprawia przyjemność granie roli aktora. Czyż poza tym nie jest wyraźniejsze to, że inni wierzą, że jest się kimś, niż to, że się tym kimś jest naprawdę? Co sądzisz o tym, mój Varronie?" i po raz pierwszy zwrócił się doń po imieniu, jak równy do równego i nie wymienił tytułu. Varro śmiał się wewnętrznie: „Ta poufność nie potrwa długo, mój Terencjuszu".

Głośno zaś rzekł: „Wielu wierzy teraz, że cesarz Nero żyje i to w dodatku w Edessie. Inni jednak zaprzeczają temu. Jest naprzykład nasz Jan z Patmos, artysta, fachowiec, jak sam przyznasz. Uważa on, że gdyby w tragedii „Oktawia" zagrał rolę Nerona, tak jak ją ktoś odgrywa w mieście Edessie, nikt by nie uwierzył." Garncarz Terencjusz, słysząc te słowa, nie mógł opanować drgnienia twarzy. Nadejdzie dzień, kiedy pokaże temu Janowi, kto z nich dwu jest lepszym Neronem. Na razie schronił się przed Varronem w metafizykę. „Boskość, — rzekł, zsyła stworzenia swe na świat w wielu miriadach egzemplarzy, jednakże czasem stwarza w swej woli jedyny egzemplarz ludzkiego oblicza". „Czy się aby nie mylisz? — spytał Varro. — Czy to twierdzenie nie jest zbyt śmiałe? Jeśli bowiem istnieje człowiek o niezapomnianej twarzy cesarza Nerona, czyż nie istnieją środki, za pomocą których niezawodnie poznać by można było, czy ten człowiek jednak nie jest kimś innym, nie zaś cesarzem Neronem?" Ponieważ zaś Terencjusz zaczął się niepokoić, ciągnął dalej: „A może nie ma takich środków?" „Może istnieją takie środki", — odparło z wahaniem stworzenie. „Władze Edessy w każdym bądź razie, — mówił Varro dalej, — sądzą, że środki takie istnieją. Jeżeli pewien „ktoś" chce być cesarzem Neronem — tak sądzą władze Edessy — wówczas musi on być obznajomiony z tajemnicami które znać może tylko cesarz Nerro i senator Varro". Terencjusz milczał z przykrością. „Czy nie uważasz poglądu tego za słuszny?" — podniecał go drwiąco Varro. „Wydaje mi się słuszny" — podporządkowało się stworzenie. „No, więc," — rzekł jowialnie Varro.

„Właściwie dlaczego nie siadamy?" — zwrócił się do Terencjusza, ponieważ przez czas rozmowy uroczyście nieco stali obaj. Usiedli więc.

„Czy przypominasz sobie naprzykład, — rozpoczął dobrodusznie przykry egzamin, — że razu pewnego w maju, mogło to być w roku 818 od założenia miasta, cesarz Nero odwiedził dom publiczny „Pod Pawiem" za wielkim cyrkiem? Był w otoczeniu szeregu przyjaciół, między innymi był tam i senator Varro."

Różowawo-zwiędła twarz Terencjusza zabarwiła się nieco. To nikczemność, że Varro wyciągnął właśnie tę historię. Podczas bowiem owych odwiedzin bardzo szacowna dama Lucia została poszkodowana, wybuchł skandal i nagle cesarzowi odechciało się brać udział w tej aferze. Wyjaśniono, że owe indywiduum, w którym niektórzy chcieli dopatrzeć się cesarza, było jakimś przygodnym człowiekiem z ulicy, którego zagarnięto dla żartu i przyprowadzono ze sobą. Człowieka tego zidentyfikowano jako garncarza Terencjusza, jego wezwano przed pretora i skazano na zapłacenie kary pieniężnej, którą mu z niewiadomego źródła hojnie zresztą zwrócono. Przed sądem zapoznał się garncarz Terencjusz ze szczegółami tej sprawy, prawie niedostępnymi dla innych. W pewnym stopniu była to więc wielka przysługa, jaką Varro wyświadczał Terencjuszowi, badając jego identyczność za pomocą znajomości tych szczegółów. Terencjusz jednak w pytaniu senatora nie dojrzał szlachetności, tylko ironię. Sam zrzadka tylko wspomniał ów epizod i zawsze czuł się przy tym nieswojo. Chętnie widział siebie przed senatem, odczytującego cesarskie posłanie, nie zaś przed pretorem, jako wyzwolońca, przyjmującego na siebie poniżającą rolę, za którą nie chciał odpowiadać ten zresztą nie nazbyt wstydliwy cesarz, powodowany teraz jakimś kaprysem. „Przypominam sobie tę historię", — odrzekł ze wstrętem. „A przypominasz sobie, — pytał Varro dalej ciągle tym samym lekkim tonem rozmowy, — co powiedział cesarz Nero, kiedy owa dama Lucia stała naga w oknie, Aelius zaś właśnie zamierzał zrzucić ją na dół?" O tym Terencjusz nie wiedział nic, o tym nie było przed sądem mowy. Prawdopodobnie słowa te znali tylko ci nieliczni panowie w towarzystwie, których zabawiał się wówczas Nero w „Pod Pawiem", jeżeli jeszcze żyli i jeszcze je pamiętali. Terencjusz poczuł się teraz podwójnie zmieszany, ponieważ pytanie Varrona dowiodło, że rozmowa była uczciwym egzaminem, nie zaś tylko złośliwością senatora.

Mimo wszystko, musiał odpowiedzieć. Zebrał się wewnętrznie, przyjął postawę Nerona, wypełnił się, jak sądził, jego duchem, wyjął szmaragd, stał się Neronem i odparł głosem Nerona: „Daj spokój, Aeliusie. Może wyrzuca się przez okno feldmarszałka lub króla, ale nie nagą damę. To albo coś w tym rodzaju — powiedział Neron".

Varro uśmiechnął się. Po raz pierwszy zobaczył teraz szmaragd Terencjusz. Szmaragd Nerona był może mniejszy, ale znacznie staranniej i artystyczniej oszlifowany. Poza tym zaś prawdziwy Nero w domu publicznym bynajmniej nie usiłował być dowcipny. Był raczej, gdy Aelius damę Lucię zamierzał wyrzucić przez okno, dość już pijany, jak zresztą większość pozostałych, i ziewając i bełkocąc rzekł dość bezsensownie: „No, mój Aeliusie, jak ci się tylko podoba. Dogadzaj sobie, mój miły". Bawiło i uspakajało Varrona to, że Terencjusz nie mógł wyobrazić sobie Nerona w zwykłej codziennej sytuacji, lecz sądził, że cesarz nawet w domu publicznym musi zachowywać się po cesarsku, myśląc tylko o feldmarszałkach lub królach.

Terencjusz mógł jeszcze z jaką taką pewnością odpowiedzieć senatorowi. Zaledwie jednak skończył mówić, porzucił wbrew woli ruchy Nerona, odjął od oczu szmaragd, stał się znów garncarzem Terencjuszem i pełen niepokoju rzucił Varronowi spojrzenie, badając czy i jak dalece odgadł właściwą odpowiedź. Varro jednakże uśmiechał się tylko i nie pozwolił, aby to stworzenie kiedykolwiek dowiedziało się, jak blisko, lub też jak daleko było od celu. Wstał natomiast i rzekł, a był to raczej rozkaz niż prośba: „Jeżeli cesarz Neron myśli o przejęciu nanowo władzy, to uczyni to teraz".

Po odejciu Varrona Terencjusz odetchnął głęboko. Nie troszcząc się o to, czy jest obserwowany czy nie, przybrał postawę i głos Nerona, wyjął znów szmaragd, przeszedł się krokiem Nerona po komnacie, mówiąc głośno do siebie, pijany szczęściem.

Ukazał się Nr 4 Miesięcznika Dra IMBERA

OKO W OKO

Z treści:

Bez głupich żartów! — W cieniu mieczyka — Świadczył się Trzeciak swoją kuzynką — Nie ma tak dobrze — Plon wiatrosiewców — Czego nie powinniśmy pokazywać w Paryżu?

Prenumerata roczna zł. 5., — półr. 2.50.
Adres admin.: Lwów, Skrytka poczt. 222.
Przesyłki pieniężne: Lwów, „Oko w Oko",
Poczt. Konto Rozrachunkowe Nr 234.

Ozjasz Tilleman

Laureat Dawid Szymonowicz

Nowy Jiszuw palestyński długo czekał na twórcę, któryby ujął w formę artystyczną ową potężną dynamikę życia, nurtującą w współczesnym wysiłku wskrzeszenia kraju i narodu żydowskiego. Twórcą tym okazał się najnowszy laureat palestyński, Dawid Szymonowicz, obok Czernichowskiego najaktywniejsza obecnie pozycja hebrajskiej twórczości poetyckiej. Użyczył on temu jakby niememu Feniksowi palestyńskiemu daru wymowy i zawarł w swym dziele, zwłaszcza w sielankach, całą epopeję mozołu, hartu, poświęcenia i woli życiowej, cechujących pionierów odrodzenia żydowskiego. To nie tylko Palestyna zyskała przez osiedlenie się w niej Szymonowicza, ale i w równej mierze Szymonowicz dopiero w Palestynie znalazł siebie samego, po długiej tułaczce w zimnych krajach rozproszenia. Szukali się długie lata kraj i jego piewca, jakby tajemnym nakazem Przeznaczenia wzajem na siebie skazani i pewnego dnia niespodzianie się znaleźli. Poeta, przez długie lata trawiony niepokojem wędrowca, miotany nostalgią za czymś, czego sobie sam należycie nie uświadomił, w Palestynie dopiero poczuł grunt pod nogami i twórczość swą pchnął na właściwe tory. Dotąd przemawiali przez jego usta hebrajskie i Puszkin i Lermontow i Heine, których duch ożywiał nie tylko znakomite przekłady tych poetów przez Szymonowicza, ale i w znacznej mierze także jego poezje oryginalne. W Palestynie dojrzał poeta Szymonowicz, który tu wydobył z siebie hartowne tony swej własnej, drogocennej jaźni poetyckiej.

Najdojrzalszym wyrazem twórczości Szymonowicza są jego idylle palestyńskie, gdzie wyraz swój znalazł nowy, palestyński człowiek pracy, jak i ta spragniona miłosnej ręki chaluca ziemia palestyńska. Z sielanki Szymonowicza bije żar głębokiego ukochania kraju, który Żydowi przywrócił dopiero godność człowieczą, migoce olśniewający blask krajobrazu palestyńskiego, roztaczającego swe wdzięki swoiste, dudni rytm zapamiętałej, nieprzemożoną wolą natchnionej pracy, tętni niezachwiana wiara w owocność tej pracy. Przy tym wszystkim ujarzmia czytelnika idylla nieprześcignionа maestria wyrazu i formy, składające świadectwo dojrzałemu, świadomemu swych środków i celów kunsztowi poetyckiemu. To doskonały poeta przy pomocy środków równocześnie epicznych i lirycznych kreśli pewną, wprawną ręką te pełne rozmachu i jaśni obrazy uchwycone w ich płynnej dynamice. Plastyka postaci i wierność obrazu psychologicznego zacierają granicę, gdzie kończy się rzeczywistość a zaczyna wyśniona w męce i pragnieniu iluzja niepoczętego jeszcze bytowania przyszłej Palestyny. Te pierwiastki iluzoryczne, retuszujące w sposób niewidoczny, a skuteczny, chropowatości obrazu rzeczywistego, mieszczą w sobie implicite wskazania etyczno-wychowawcze, jakie nadawać powinny kierunek dziełu odrodzenia.

Z poematów Szymonowicza dolatuje nas żywy rozgwar rozśmianego, rozbulgotanego życia chalucowego, bo poeta nie tylko patrzy wnikliwie, ale i nadsłuchuje czujnie i łowi poszczególne tony tego życia, już to smętkiem drgające, już to otuchę wieszczące. Rozbrzmiewa z nich zaciekła wiara ludzi, wgryzających się w śmiercionośne bagna, by znojem swym i krwią wypłoszyć stamtąd kościsty upiór śmierci. W Szymonowiczu znalazła młodzież palestyńska swego najwymowniejszego porte-parole'a, który donośnym głosem zaintonował jej, młodzieży tej, pieśń, pieśń siły i pracy. Ten starszy pan, przekrojem swym psychicznym nie różnił się bynajmniej od tej młodzieży, rozumiał ją i z nią się utożsamiał, przeżywał jej sny i rojenia, ruchy i odruchy, myśli i zmysły. Wraz z nią odczuwał cały tragizm narodu, ale i wraz z nią unosił się na skrzydłach wiary i nadziei, łopocących nad kuźnią pracy chalucowej. Tę ekstatycznym idealizmem rozjarzoną młodzież naszą przywarł poeta do swego serca, wstrząśnięty do głębi ogromem jej poświęcenia, hartu, wytrwałości i niezmordowanej pracy. Na widok ich ofiar odgania od siebie precz wszelkie naloty smętku, a pamięć tych ofiar czcić każe jedynie tego poświęcenia godną radością pracy. To też hymn pracy jak potężna symfonia rozbrzmiewa z każdego zakątka poematów Szymonowicza. Że Tel-Awiw nie wywołuje u niego szczególnego nabożeństwa, jest przez się zrozumiałe. Z lekką ironią wdycha specyficzny aromat Tel-Awiwu, aromat spekulacji i literatury, działactwa i namaszczonego pardesaństwa. Taką samą ironią kropi też zaściankowość burżuazyjnych kolonistów, ich małostkowość, niekompetencję, dyletantyzm poczynań i hipertrofię intelektualizmu. Dlatego z osobliwą lubością traktuje rzadkie typy kolonistów, wrosłych w swój trud codzienny, gardzących bezpłodnym intelektualizmem, a rozumiejących jedynie wymowę czynu. Typy te stawia w jednym rzędzie z tą swoją ukochaną młodzieżą, wiecznie szukającą i wiecznie torującą nowe szlaki. Obserwuje bacznie różnorodne typy chaluców i przedstawia nam wielobarwną ich galerię. Każdy z nich, napiętnowany jakąś pikantną osobliwością, lecz wszyscy zgrani pod nakazem wspólnego celu, — wskrzeszenia wiekowych pustkowi.

Osobny rozdział w twórczości Szymonowicza zajmuje przyroda palestyńska, której żar zagrał w jego żyłach i z którą się niejako zidentyfikował. Wnikliwa obserwacja tej przyrody pozwala mu wiernie uwydatnić plastyczność obrazów. Występuje u niego jakiś głęboko osobisty stosunek do krajobrazu palestyńskiego, jakiś zapał chaluca, pijącego pełnymi haustami cud ojczyzny, obudzonej z martwych. Przyroda palestyńska u Szymonowicza żyje życiem samoistnym: jest jakby uczłowieczona. Poeta przeżywa ją niezwykle intensywnie, wchłonął całkowicie bogatą grę jej barw i dźwięków, upoił się blaskiem jej słońca i pól jej zapachem. W głębokiej zadumie chłonie w siebie nocą migotliwy skwar białych piasków i smętek wyschłych koryt rzecznych. Z rozkoszą przysłuchuje się muzyce morza, z której czerpie poczucie siły i żywotności. Walczył o tę przyrodę palestyńską, której runy tajemne wymykały się zrazu jego świadomości. Czul instynktownie ich piękno tajemne, lecz serce nie umiało się dla nich zagrzać. Ciągle jeszcze tkwił zasobem swym emocjonalnym w dalekiej północy. Krajobrazy obcego, zimnego kraju urodzenia przemawiały doń jeszcze żywiej i bezpośredniej, niż ojczyzna. W duszę wrosły te pierwsze obrazy dzieciństwa i młodości i jeszcze tu, w Palestynie czuł, że duszą przebywa w Golusie, bo ojczyzna weszła już wprawdzie w skład jego mózgu, lecz nie jego serca. Już zwątpił, czy uda mu się kiedyś zedrzeć zasłonę z tej natury, która zazdrośnie strzeże istoty swojej przed obcem okiem. Aż pewnego razu jakby mu spadło bielmo z oka. Przejrzał i oku jego odsłoniła przyroda palestyńska sens swój tajemny ,czar swój swoisty, któremu odtąd poeta uległ na zawsze.

Jak o przyrodę, tak musiał poeta walczyć i o uczuciowe opanowanie ojczyzny. Trzeba było wyplenić w sobie miazmaty starych wierzeń, serce na nowo przeorać pod zasiew nowego objawienia, mocno w pokładach duszy zakorzenione uczucia powyrywać niejako żywcem. Zrobił to gruntownie i ochoczo, bo wiedział, że nagrodą za ten zabieg bolesny jest odrodzenie własne, przeobrażenie się w nowego, wolnego człowieka.

Premiery warszawskie

TEATR KAMERALNY.

„Małżeństwo", komedia satyryczna w 3 aktach, 15 odsłonach, napisał Jan Vaszary, przekład: Wiliam Horzyca.

Autor nazwał swą sztukę komedią satyryczną niezupełnie słusznie. Jest to raczej satyryczna farsa (jeśli w ogóle taka istnieje) Fabule jej brak bowiem życiowego prawdopodobieństwa. Autor wyposażył też swoją sztukę w typy o farsowym zacięciu. Na farsowo niepoważną nutę nastawione są też niektóre powiedzenia, które budzą chwilami aż niesmak. Padają od czasu do czasu zdania przypominające aforyzmy kalendarzowe. A jednak ma ta komedia szanse, by się cieszyć powodzeniem nawet u publiczności z wyrobionym smakiem teatralnym, a to dzięki sytuacyjnie świetnie zmontowanym scenom. Trzeba, mimo płytkich tanich dialogów, przyznać, że autor posiada pierwszorzędny nerw sceniczny. Komedia ta, stojąca pod względem konceptu literackiego, na niskim poziomie jest z punktu widzenia czysto scenicznego bez zarzutu. Autorowi udało się banalny i trywialny koncept wyposażyć w ramy sceniczne, które decydują o powodzeniu tej płytkiej komedii.

Autor potraktował problem małżeński nierealnie; wrócił do dawnych, na ogół już przebrzmiałych, małżeńskich perypetii. Kryzys małżeński ma dziś zupełnie inne oblicze; wypływa nie z kaprysów, lecz z życiowego realizmu, który pod względem produkcji i konsumcji życiowych wartości zrównał poniekąd mężczyznę i kobietę. Dziś kobieta jest nie tylko „osłodą życia" mężczyzny. Dziś jest ona współczynnikiem w kształtowaniu wspólnego życia. Buduje je na równi z mężczyzną i na równi z nim przeżywa jego smutki i radości. Kobiety typu Emmy Bovary, uganiające się za iluzjami, nierealnej wyimaginowanej miłości, należą już dziś do przeszłości. Podobne typy kobiece pokutują jeszcze dziś tu i ówdzie, ale nie mogą one posłużyć jako postaci do komedii satyrycznej, mającej na celu obnażanie i piętnowanie rzeczywistości. Postawa życiowa nowoczesnej kobiety nie różni się dziś wiele od postawy życiowej mężczyzny. Kryzys małżeństwa bezwzględnie istniejący i może coraz bardziej zaostrzający się to owszem bardzo wdzięczny temat dla komedii, a raczej dla dramatu, ale trzeba go oświetlić z właściwego punktu widzenia. Ale autorowi nie chodziło o obiektywną prawdę. Stworzył sobie typy odpowiednie do konceptu sztuki. Trzeba jednak przyznać, że zrobił to umiejętnie, osiągając pierwszorzędny sceniczny efekt.

Komedię zagrano brawurowo w farsowym tempie. Adwentowicz w roli zapracowanego męża, przy boku wiecznie kwaśnej, uganiającej się za flirtami, żony Marii, był świetny. Grywińska, jako rozkapryszona żona, nie widząca świata, poza swoją własną osobą, grała poprawnie. Chwilami miało się wrażenie, że ta zdolna aktorka nie czuje się zbyt dobrze w powierzonej sobie niebardzo fortunnie, roli. Dobra była p. Fiszerówna w roli „nibydziewicy" Tylli. Zagrała tę rolę z właściwym, nieprzesadnym temperamentem. Znakomitą służącą Franią była Hanna Kozanska. Jej rubaszne powiedzenia, przy odpowiednio zastosowanej mimice i ruchach, bawiły świetnie publiczność. Bardzo dobrze wywiązał się z swej roli pantoflarza — męża Frani, Bronisław Dardziński. Rolę pianisty wirtuoza — tchórzliwego uwodziciela Marii, kreował Aleksander Balcerzak. reszta zespołu grała bez zarzutu. Na szczególną pochwałę zasługuje Emil Chaberski, reżyser i inscenizator komedii, który potrafił małą scenę teatru Kameralnego wyzyskać niczem scenę obrotową.

TEATR POLSKI.

„Pygmaion" kom. G. B. Shawa w 5 akt.

Pygmalion należy do żelaznego repertuaru każdego teatru. Pochodzi on z dawniejszego okresu twórczości Shawa. Cechuje ją, jak zresztą wszystkie jego sztuki, wyostrzona dialektyka, a pozbawiona jest przydługiego, hamującego bieg akcji, rezonerstwa, które tak fatalnie zaciążyło na twórczości teatralnej Shawa z ostatniego okresu. Jeśli porównać choćby jego „Milionerkę" (widziałem tę sztukę nie dawno temu w wiedeńskim Akademietheater z Marią Eis w roli głównej) z Pygmalionem", to trudno wprost uwierzyć, że obydwie sztuki pochodzą od jednego autora. Co za diametralna różnica w żywości akcji, w scenicznym chwycie. Jest zaiste wielka różnica między starszymi sztukami młodego Shawa a młodymi sztukami starego Shawa. Recenzując swego czasu „Milionerkę", pisałem, że różnica zdań, panująca wśród krytyków teatralnych co do sztuk Shawa, polega na błędnym identyfikowaniu mało do siebie podobnych dwóch Shawów: młodego i starego. Pierwszy — to szermierz-dialektyk o pierwszorzędnym nerwie scenicznym, drugi to już suchy i nudny rezoner, lubujący się w oderwanych paradoksach. Przysłowiowo niestarzejący się Shaw, jeśli chodzi o jego sztuki tearalne, mocno się postarzał. . Miast dać widzowi w pierwszym rzędzie artystyczną emocję, pakuje stary Shaw do głowy widza swoje karkołomne sentencje, daje mu do rozwiązania jakieś filozoficzno-społeczne łamigłówki. Ostatnie sztuki Shawa — to udramatyzowane traktaty obyczajowo-satyryczne. Nic więc dziwnego, że nie cieszą się one zbytnim powodzeniem.

Inny jest Shaw-autor Pygmaliona. Sztuka ta posiada, obok pierwszorzędnych walorów dialektycznych, także żywą krwią pulsującą akcję, która zresztą - jak zawsze u Shawa — posiada głęboki obyczajowy podkład.

Pygmaion to satyra na ludzi z tak zwanymi dobrymi manierami, na ludzi salonów o pustych łbach. Shaw pokazuje nam, jak najgorszą nawet wywłokę uliczną, której zachowanie i nieartykułowana mowa przypomina raczej zwierzęcia niż człowieka, można za pomocą odpowiednio stosowanej tresury zamienić w człowieka najwyższych sfer towarzyskich, uczynić z niej bywalczynię książęcych salonów. Bo przecież mniejsza o to CO się mówi, ważniejsze dla salonów jest, JAK się mówi. Tego „jak" podejmuje się nauczyć młodą kwiaciarkę, która jako miejski okaz „człowiecka dżungli" specjalnie go zainteresowała, profesor fonetyki, Higgins. Między nim a jego przyjacielem pułkownikiem Peckeringiem staje i zakład. Profesor podejmuje się do 6 miesięcy dokonać dzieła przeobrażenia zewnętrznego E. Doolit i wprowadzić ją jako księżniczkę do arystokratycznych salonów. To jest oś komedii, obfitującej w moc pierwszorzędnych typowo shawoskich kalamburów, lapidarnych zwrotów dialogicznych. Bo wiedzieć trzeba, że u Shawa przeważa ogólnie komizm słowa nad komizmem sytuacji. Komizm sytuacji odgrywa u tego mistrza dlialektyki podrzędniejszą rolę. Zaliczyć to należy na konto minusów jego sztuki komediopisarskiej, które jednak Shaw potrafił w Pygmalionie wyrównać bogactwem mistrzowsko przeprowadzonych dialogów.

Eliza Doolit robi w szybkim tempie zadziwiające postępy. Prowadzi konwersację w pięknobrzmiącej formie. A treść? Nie różni się ona od treści konwersacji bywalców salonowych. Jest tak samo nabyta i przeraźliwie pusta. Świadomość, że jest tylko przedmiotem eksperymentalnym, doprowadza Elizę do pasji. Budzi się w niej dawne dziecko ulicy, choć już w mocno przytłumionej formie. Założony przez profesora kaftan dobrych manier rozluźnia się; wyłażą dawne niekulturalne odruchy, ale tylko na krótko. Na ogół działa ten kaftan bezpieczeństwa nienagannie. Eliza Doolit zdobyta jest dla „kultury". Przybyła społeczeństwu jeszcze jedna kobieta „salonsfähig".

Rolę profesora Higginsa gra z właściwą sobie werwą i temperamentem, Węgierko. Trafił on we właściwy ton shaowskiego balansowania między na „na poważnie" i „na żart". Jest to kreacja na wysokim poziomie. Kwiaciarką Elizą Doolite jest Romanówna. Znakomita ta aktorka wywiązała się na ogół z tej trudnej roli nienagannie. Jako kwiaciarka dała przekonywujący typ nieokiełzanego dziewczęcia. (nie które momenty były może nieco przejaskrawione) a jako Eliza Doolite, wychowanka Higginsa, wydobyła z siebie wszystkie fazy stopniowej metamorfozy. Na specjalne wyróżnienie zasługuje kapitalna kreacja Kurnakowicza w roli ojca Elizy. Co to za pyszny typ „doliniarza", którego pod koniec komedii „okrutny" los wpakował sciskającą obręcz średniej klasy (aluzja do sztywnego kołnierzyka krępującego szyję) Czy Kurnakowicz jest u nas należycie doceniany? Zagranicą byłby to aktor charakterystyczny pierwszej wielkości. Reszta obsady dopisała w zupełności. Reżyseria sztuki spoczywała w niezawodnych rękach Węgierki. Dekoracje były dziełem Sliwina. Należy szczególnie podnieść pełną ekspresji dekorację pierwszego aktu.

TEATR NOWY.

„Nagroda Literacka" komedia w 4 aktach Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej.

Wychodząc z Teatru Nowego, zadałem sobie pytanie: Jakie było zamierzenie autorki, jaka była jej intencja artystyczna. Rozpamiętywałem powtórnie całą treść sztuki, szukając w niej jakiegoś punktu wyjścia. Niestety nie znalazłem go. Komedii brak bowiem tego, co nazywamy kośćcem utworu literackiego. Zastanawiając się nad poszczególnymi aktami komedii, doszedłem do przekonania, że pozbawiona jest ona myśli przewodniej, którą, odnoszę to wrażenie, autorka w trakcie pisania komedii zagubiła: Tytuł komedii i ogólne podejście do tematu zdradza, że „Nagroda literacka" była pomyślana jako satyra na stosunki literackie, że chodziło autorce o zdemaskowanie ignorancji czynników decydujących o nagrodach literackich, ale przeczy temu nagrodzona powieść czy nowela Klemensa-Niedzickiego, którego autorka przedstawia nam jako wartościowego, gardzącego tanią sławą, mającego naprawdę coś do powiedzenia — pisarza. Ten Klemens, z zawodu profesor wychowania fizycznego, a z powołania pisarz, jest w ogóle wielce zagadkową postacia. (sztuki teatralne nie znoszą zagadek). Dla kogo on właściwie pisze, jeśli nie chce, aby się świat dowiedział o jego istnieniu. W jednym z dialogów dowiadujemy się, że dla potomności. Autorka wyprała Klemensa i to kompletnie z wszelkich osobistych ambicji twórczych. zrobiła z niego pisarza ascetę, co jakoś nie bardzo idzie w parze z krewkością sportowca. Niechaj dzieła Klemensa idą w świat, wzbogacają dorobek kulturv ludzkości, ale pod obcym nazwiskiem. „Ciosy" przebrzydłej, niegodnej czystej duszy Klemensa, sławy niechaj odbiera jego przyjaciel i domownik, pasożyt Albin Niekawski. Czyż naprawdę nie było innego wyjścia dla uchronienia Klemensa przed niesmacznym rozgłosem, jak tylko podszycie się pod nazwisko wątpliwej reputacji Albina. Chcąc pozostać w ukryciu, wystarczyło zaopatrzyć swoje dzieła w pseudonim. Ale bez tego qui pro quo nie byłoby perypetii, wypełniających treść komedii. Innego rodzaju sfinksem jest zdobiący się w cudze piórka Albin Niekawski. Zagarnął z lekkim sercem nie tylko sławę, ale także narzeczoną Klemensa, która go już w noc poślubną opuszcza, by wrócić do mieszkania Klemensa. Cała akcja komedii toczy się bez logicznego związku, wypadki nie zazębiają się o siebie, jednym słowem „Nagroda literacka" to jedno wielkie „deus ex machina"

Jerzy Leszczyński w roli tuczącego się cudzą pracą pieczeniarza Albina, był wyśmienity. Stefan Hrydziński nie mógł niestety, więcej wydobyć z mętnej roli Klemensa Niedzickiego. Rolę narzeczonej Klemensa Taidy Srebrzyckiej zagrała pełna wdzięku Karolina Lubieńska, niestety niekonsekwentnie. Ale trudno żądać od aktorki konsekwentnej gry w roli przez autorkę niekonsekwentnie postawionej. Jako babka Walentyna Srebrzycka wystąpiła niezawodna Maria Dulęba. Stworzyła dobry typ tyradującej i rad małżeńskich udzielającej, zasobnej w tuszę i brylanty, babki. Świetny typ gderliwej gospodyni w domu Klemensa stworzyła Janina Krzymuska.

Komedię wyreżyserował udatnie Jerzy Leszczyński.

J. LESER

JULIUSZ WIT

Odjazd

Znowu dzień otworzył powiekę,
znowu dymów błyszczące zasłony,
znów pociąg gwiżdżący na skręcie.

Mów: czy pojadę daleko?
po złoto białej arabji?
po szalony, wyjaśniony nów?
po inne niesłychane szczęście?

Komuż wyśpiewać się chciało
radość odnowa jedyną,
radość naiwną poety
gwizdem niezmiernym wyrzucić z płuc:

Lecz na Wiśle zatory powstały
i kogut pieje tu gdzieś
głupim, donośnym falsetem,
jakgdyby to było nie miasto, lecz wieś.

Na Wiśle zatory powstały
(wodo, wodo ustami dwa brzegi pieść!)
a wczoraj jeszcze był mocny lód.
Suchą nogą przejść mogłeś tamtędy
na drugi wyniosły brzeg.

Tak ja ciebie pokochałem...

Jakgdybym jutro odjechać miał gdzieś,
w inne jutro,
w inne jutro,
w inny szczęśliwy wiek!

KRONIKA LITERACKA

MONOGRAFIA O BIALIKU.

Nakładem Wydawnictwa „Dwir" w Tel-Avivie ukazała się monografia wybitnego krytyka hebr. F. Lachowera pt.: „Ch. N. Bialik, jego życie i twórczość". Autor monografii rozpoczął pracę nad swym dziełem jeszcze za życia poety. Bialik w czasie częstych rozmów z Lachowerem udzielał mu wiele ważnych wskazówek, dotyczących ważniejszych okresów jego życia i twórzości.

NOWA KSIĄŻKA MARTINA BUBERA.

Nakładem Wydawnictwa Schockena w Berlinie ukazała się nowa książka Martina Bubera w języku niemieckim. Książka ta jest opracowaniem referatu, wygłoszonego przez Bubera przed studentami trzech uniwersytetów niemieckich w Szwajcarii w r. 1933. Tematem książki jest kryzys współczesnego człowieka.

ROZPRAWA O ACHAD HAAMIE.

Dr. Israel Trief wydał w języku polskim rozprawę o Achad Haamie pt.: Achad Haam, jego życie i nauka. Książka ukazała się nakładem Komendy Naczelnej Hanoar Hacyjoni w Polsce.

POWIEŚĆ O WOJNIE DOMOWEJ W HISZPANII.

Upton Sinclair ukończył powieść pt.: „No Pasaran", której treścią jest wojna domowa w Hiszpanii.

NOWY TOM PISM MAKSA NORDAUA.

W najbliższym czasie ukaże się drugi tom pism zbiorowych Maksa Nordaua. Tom zawierać będzie artykuły i rozprawy z okresu wojny światowej i z lat powojennych. W tomie tym ukażą się też artykuły dotyczące deklaracji Balfoura.

ZGON MALARZA ŻYDOWSKIEGO K. J. POLLAKA.

W 59 roku życia zmarł we Wiedniu wybitny malarz i karykaturzysta żydowski Karl Joseph Pollak. W czasie wojny światowej, zmarły odznaczył się na froncie wielkim męstwem. Był kawalerem licznych odznaczeń wojennych.

TOMASZ MANN W „UNIWERSYTECIE NA WYGNANIU".

Tomasz Mann przybędzie wkrótce do Ameryki, gdzie wygłosi kilka wykładów na „uniwersytecie na wygnaniu, powołanym do życia w r. 1933. Na uniwersytecie tym są czynni liczni uczeni, wygnani z Niemiec, wśród których znajduje się też wielu Żydów.

10-TA ROCZNICA ZGONU JEHOASZA.

Z inicjatywy Towarzystwa Kultury Żydowskiej odbyła się wielka akademia, celem uczczenia 10-tej rocznicy zgonu poety i tłumacza Biblii na język żydowski — Jehoasza.

WYDANIE ZBIOROWE DZIEŁ SZ. ANSKIEGO.

W myśl układu, zawartego między Żydowskim Instytutem Naukowym a Funduszem im. Sz. An-skiego. Instytut przystępuje do zakończenia edycji zebranych dzieł zmarłego pisarza żyd. Dotychczas Fundusz im. An-skiego wydał 15 tomów dzieł Anskiego. Obecnie prygotowywane są do druku dwa świeże tomy pism beletrystycznych i publicystycznych. Wydanie dzieł An-skiego zamknie specjalna „Księga An-skiego", na której treść złoży się biografia pisarza, rozprawy o jego życiu i twórczości, wspomnienia przyjaciół i in.

Antena świata

Einstein w Ameryce

Od czasu zamieszkania w Stanach Zjednoczonych Einstein opatentował 72 nowe wynalazki. Część z nich stanowi tajemnicę amerykańskiego ministerstwa marynarki, inne zaś zostały zakupione przez przemysł prywatny.

Autor „teorii względności" jest obecnie profesorem uniwersytetu w Princetown, gdzie nie tylko, że zaofiarowano mu katedrę i stworzono środki dla odpowiedniej egzystencji ,ale nadto jeszcze wybudowano mu laboratorium, zaopatrzone w najnowsze przyrządy dla badań naukowych. Miasto Princetown szczyci się Einsteinem i znakomity uczony staje się po trochu największą znakomitością tego miasta.

Z amerykańskiego punktu widzenia prowadzi on dziwny sposób życia. Słaby wzrok nie pozwala Einstienowi pracować przy świetle elektrycznym. Wstaje on dlatego o świcie i kładzie się spać zaraz po zachodzie słońca.

Einstein wychodzi z domu kiedy całe miasto, z wyjątkiem zamiataczy ulic, pogrążone jest we śnie. Przywitawszy się z nimi, profesor szybko udaje się do laboratorium. W ciągu 3. lat swego przebywania w Proncetown wielki uczony nie sprawił sobie żadnego garnituru. Nosi on stale latem i zimą to samo zielonkawego koloru ubranie, w którym opuścił Niemcy.

Do zmierzchu nie opuszcza on swego laboratorium. Tu na brzegu stołu, zastawionego rozmaitymi przyrządami, zjada on lunch. Menu stanowi jedno danie jarzynowe i owoce.

Einstein jest tak bardzo zapracowany, że dotychczas nie miał czasu zabrać się do nauki angielskiego, wszystkie swoje wykłady i ćwiczenia prowadzi po niemiecku.

Mumia Rubinsteina

Podczas robót konserwacyjnych na starym cmentarzu w klasztorze Daniłowskim w Moskwie znaleziono grób znakomitego wirtuoza i kompozytora Mikołaja Rubinsteina, zmarłego w 1881 r. Trumnę jego wyjęto z grobu i polecono otworzyć ją urzędnikom muzeum antropologicznego. Ku ogólnemu zdumieniu znaleziono zamiast szkieletu niezwykle dobrze zachowanego trupa. Nawet ubranie pozostało nienaruszone. Trup Rubinsteina został więc natychmiast przekazany do zbadania Instytutowi Medycyny Sądowej, gdyż tego rodzaju zachowanie ciała po śmierci, bez uprzedniego zabalsamowania, jest nienapotykaną rzadkością. Proces gnicia zatrzymał się w tym wypadku na samym początku i dlatego przeniesienie trupa nie wymagało nawet żadnych specjalnych ostrożności. Ciało wielkiego muzyka zachowało się więc do dnia dzisiejszego jako mumia doskonała.

Polityczni emigranci w Z. S. R. R.

„Journal de Geneve" poświęca cały artykuł życiu politycznych emigrantów, którzy szukali schronienia w Sowietach. — „Gdyby tak spróbować wywieźć z Rosji wszystkich tamtejszych komunistów, a posłać tam wszystkich komunistów z Europy, to w ciągu ośmiu dni nie byłoby na świecie ani jednego komunisty. To nie żarty, a okrutna prawda. Władza sowiecka zdaje sobie z tego sprawę i dlatego wyjazd z socjalistycznego raju jest wzbroniony nie tylko komunistom ale w ogóle wszystkim obywatelom tego nieszczęsnego państwa.

W obecnej Rosji nie znajduje się ani jeden człowiek ,który nie zgodziłby się na zamianę swego życia, choćby w charakterze bezrobotnego, choćby z nansenowskim paszportem. Jednakowoż każdego dnia wydaje się pozwolenie na wyjazd nie więcej, niż 50 ludziom i to przeważnie ludziom zaufanym, agentom G. P. U., propagatorom i t. d. W przeciwnym kierunku ruch jest bardziej intensywny: do sowieckiej Rosji id ą liczni socjaliści, komuniści, inżynierowie, specjaliści różnego rodzaju: jedni szukają wielkich zarobków, inni zadośćuczynienia duchowego.

Co się z nimi staje? Otóż, jedni mkną szybko z powrotem, przejęci wstrętem do wszystkiego ,co widzieli. Inni siedzą po więzieniach. — Weźmy choćby następujący przykład: — W 1934 roku po powstaniu wiedeńskim liczni jego uczestnicy wyjechali do Z. S. S. R. gdzie ich przyjmowano, jak bohaterów, wystawiano na pokaz. Z czasem entuzjazm minął, rozpoczęło się rozczarowanie. Wiedeńczycy, naród silny, wesoły i kochający swobodę, w żaden sposób nie mogli się pogodzić z ubogim życiem, z obowiązkową pracą, z terrorem... Zaczęli szemrać, skarżyć i w końcu rozpoczęli otwartą walkę z G. P. U. Jednych wysłano na wyspy Sołowieckie, inni doszli do tego, że schronili się w gmachu austriackiego poselstwa w Moskwie, gdzie wyrazili skruchę. Zostali oni zwolnieni od kary, na skutek specjalnej amnestji, a potym wysłano ich do ojczyzny; do samej granicy odprowadzili ich urzędnicy austriackiego konsulatu w obawie przed represjami G. P. U.

Ludzie czy tradycje?

Komisja naukowa, mianowana przez ministra nauczania publicznego w Japonii, odrzuciła wszelkie poprawki, wprowadzające modyfikacje do obecnej pisowni.

Pisownia japońska jest pisownią ideograficzną, składa się ona z 47 znaków fonetycznych, używanych łącznie lub osobno. Wielki słownik japoński zawiera ponad 50 tys. znaków ideograficznych które należy znać dokładnie, aby móc swobodnie pisać. Przyswojenie sobie tego pisma wymaga długiej i uciążliwej pracy i częstokroć życie ludzkie jest na to zbyt krótkie. Przeciętnie inteligentny człowiek powinien znać 5 tys. znaków, w wieku lat 14 każdy uczeń winien dokładnie sobie przyswoić 1.500 znaków. Niestety jednak, mimo że aż 40 godzin tygodniowo przeznaczonych jest dla ortografii, tylko nieliczni z pośród uczniów, obdarzeni wyjątkowo pamięcią, są w stanie przyswoić sobie tę pisownię.

„Jeśliby pokazać narodowi — mówią konserwatyści, przeciwnicy inowacji w ortografii — że można pewnego dnia znieść tradycję tak zakorzenioną, czy masy nie pomyślą ,że można to samo uczynić z innymi formami tradycyjnymi życia japońskiego: jak rodzina, własność prywatna czy też charakter boski cesarza?"

Bez wątpienia, tysiące dzieci rocznie popełnia samobójstwo, aby uniknąć wstydu niezdania egzaminu, lecz jest to. jak twierdzą tradycjoniści, mniejsze zło. Dzieci martwe zostaną zastąpione przez inne, podczas gdy nie wiadomo, co stało by się z Japonią, gdyby naród odzwyczaił się pomału od najświętszych tradycji wspaniałej przeszłości.

Zdegradowane pomniki

Przed kilkoma miesiącami powstało w Paryżu zrzeszenie artystów-plastyków i mecenasów sztuki, które postawiło sobie za cel zwalczanie małowartościowych pomników i budowli, szpecących stolicę. Między innymi związek ten zamierza spowodować usunięcie z ulic miasta wszystkich nieestetycznych posągów, które w tym celu poddano krytycznemu przeglądowi. Jako pierwsze „ofiary" tej ofensywy przeciwko „kiczom" artystycznym paść mają najprzód: pomnik Gambete'y na dziedzińcu Louvre'u oraz pomnik mężów stanu Jules Ferry i Waldeck-Rousseau, znajdujące się w ogrodach Tuillerie.

Jaki ma być los tych pomników jeszcze nie wiadomo; należy jednak przypuszczać. że znajdzie sie jakieś prowincionalne miasto, które ulituje się nad nimi i przygarnie do siebie. Tak np. południowo-francuskie miasto Nimes gościnnie przyjęło bronzowy odlew smoka, dotychczas zdobiący tylny taras starego gmachu Trocadero. Nimes urzadza nawet z tej okazii wielką fetę w trugim tygodniu maja b. r.

Związek zawodowy dyplomatów

Nowością w dziedzinie ruchu zawodowego jest nowy związek zawodowy — ambasadorów, posłów i konsulów! Nie jest to żadna anegdota, lecz nawskroś poważnie traktowana sprawa. W czasach, gdy wszystko sie organizuje ,nie chca również panowie dyplomaci pozostawać bez zorganizowanej obrony swoich interesów.

Ostatnio powołano do życia syndykat urzedników służby dyplomatycznej ministerstwa spraw zagr. Francii, który przystapił do C. G. T. (Powszechna Federacaj Pracy). Na czele tego nowego związku zawodowego stoi były poseł francuski w Chinach, Contij.

Zrzeszenie albo raczej związek zawodowy urzedników służby dyplomatycznej, zwrócił sie obecnie, po ukonstytuowaniu swych władz, do wszystkich szefów misji zagranicznych, a mianowicie do ambasadorów, posłów i konsulów z wezwaniem o wstapienie do związku.

Z uwagi jednakże na specyficzne właściwości służby dyplomatycznej nowo powstały związek wywalczył sobie pewna niezależność w ramach ruchu zawodowego.

J. Ernicz-Homańska

Z Filharmonii Warszawskiej

KONCERT KU CZCI EMILA MŁYNARSKIEGO Z UDZIAŁEM ART. RUBINSTEINA. KILKA SŁÓW O FORTEPIANACH KONCERTOWYCH. TROMBINI-KAZUROWA, B. WEBSTER, M. MIERZEJEWSKI, EM. FEUERMAN, ED. VAN BEINUM, IDA HENDLÓWNA, WIECZÓR KOMPOZYTORSKI, M. CENTNERSZWERA, S. SZYFMANÓWNA.

Drugą rocznicą śmierci Emila Młynarskiego, Filharmonia Warszawska uczciła koncertem poświęconym jego pamięci.

Młynarski, znakomity kapelmistrz, jeden z czołowych muzyków polskich, położył ogromne zasługi dla muzyki polskiej, bądź jako organizator życia muzycznego w Polsce, bądź jako propagator muzyki polskiej poza granicami kraju. Młynarski był jednym ze współtwórców Filharmonii Warszawskiej, pierwszym jej dyrektorem artystycznym i pierwszym stałym kapelmistrzem. Przez 10 lat (1919—29) był dyrektorem opery warszawskiej, oraz dwukrotnie dyrektorem warszawskiego Konserwatorium.

Rozpocząwszy za młodu świetną karierę jako skrzypek, wkrótce Młynarski poświęcił się kapelmistrzostwu. Niezależnie od wielce ożywionej, niesłychanie intensywnej działalności dyrygenckiej w Polsce, występował we wszystkich większych środowiskach muzycznych Europy i Ameryki Północnej, odbywając liczne tournée po różnych krajach: w latach 1911—16 był angażowany jako stały dyrygent orkiestry Szkockiej w Glasgow i Edynburgu, w latach 1929—31 — dyrektorem opery w Filadelfii oraz profesorem w sławnym Instytucie myzycznym Curtisa, bozostającym pod kierownictwem Józefa Hofmana.

Wszędzie, gdzie Młynarski dyryguje, wprowadza do repertuaru dzieła polskie, wielokrotnie organizuje koncerty symfoniczne, całkowicie poświęcone muzyce polskiej, np. pierwszy koncert polski w Londynie w największej sali Queens hall w 1915 r. Zasługą Młynarskiego jest także pierwsze wystawienie „Halki" Moniuszki we Wiedniu i Pradze Czeskiej.

Dyrygując w Polsce, Młynarski wprowadza po raz pierwszy do programów cały szereg dzieł polskich i obcych, pomaga wielu młodym talentom twórczym i odtwórczym do wypłynięcia na szerszy teren międzynarodowy. Dla przykładu zacytujemy np. zmarłego brzed wielu laty, sławnego skrzypka Pawła Kochańskiego oraz Artura Rubinsteina (będacego nawet ostatnio zięciem ś. p. Młynarskiego).

Wobec tak absorbującej działalności, oczywiście niewiele czasu pozostawało Młynarskiemu na kompozycję — tym niemniej jednak symfonia F-dur, wykonana na koncercie filharmonicznym, poświęconym pamięci Młynarskiego, świadczy o szczerej inwencji twórcy, o jego szlachetnym stosunku do muzyki, żywo odczuwanej i przeżywanej. O ileż szlachetniejszy jest ten rodzaj muzyki, niezamąconej refleksyjnym wysilaniem się na kombinacje dźwiękowe — niż to, co dyktuje, modna dzisiaj, (a odstraszajaca ludzi od muzyki), maniera kompozytorska, posługujaca się nie wewnętrznym nakazem twórczym, a hasłem: niech będzie najgorsze dziwactwo — byle tylko napisać coś czego dotad nie było! (nawet statut „Towarzystwa muzyki współczesnej" zawiera punkt mniej więcej w tym duch).

Oprócz symfonii Młynarskiego, słyszeliśmy na tymże koncercie, (z którego dochód przeznaczono na nagrobek Młynarskiego na Powazkach. ufundowany częściowo przez Instytut Curtisa w Filadelfii i orkiestre symfon. w w Glasgow) — dwa koncerty fortepianowe: c-moll Beethovena i f-moll Chopina w wykonaniu Artura Rubinsteina.

Rubinstein jest zawsze wielkim pianistą, każde jego dotkniecie fortepianu roztacza swoisty urok. Niektóre frazy grane były w sposób wręcz niezapomniany. Jeżeli w koncercie Chopina niewszystkie pasaże i gamki odzywały się precyzyjnie — to była to niewątpliwie wina fortepianu.

Filharmonia Warszawska nabyła niedawno nowy fortepian koncertowy Steinwag'a, wyjątkowo ciężki w mechanice i matowy w tonie, co w terminologii fachowej określa się jako fortepian „mollowy". Należałoby cokolwiek „rozjaśnić" ten fortepian, co uskutecznia się przez odpowiedni mały zabieg na młotkach. Zabieg taki, polegający na lekkim wygładzeniu młotka, czyni ten fortepian podatniejszym woli pianisty, przy czym nie wyrządza to żadnej krzywdy instrumentowi, jeśli zostaje wykonane przez wytrawnego specjalistę.

Niestety, u nas nikt prawie nie zna się na niuansach mechanizmu fortepianowego, nasz świat muzyczny nie zdaje sobie sprawy z ważnej roli, jaką grają te niuanse dla koncertu pianisty.

U nas w najlepszym wypadku muzycy odróżniają, czy fortepian jest rozstrojony — czy nie. Tymczasem strój nie ma nic wspólnego ze sprawą regulacji młotków.

Za granicą np. w fabryce Bechsteina, pracuje szereg wytrawnych specjalistów, którzy kontrolują każdy fortepian koncertowy na sali przed każdym koncertem pianisty. Niezależnie od strojenia, kontrola młodków polega na wyrównaniu jasności tonu wszystkich poszczególnych klawiszy oraz na przystosowaniu do gry i wymagań koncertanta.

Dla przykładu zacytujemy jeszcze, że w każdej reprezentacyjnej sali koncertowej Berlina, fortepian stoi na estradzie w ściśle oznaczonym miejscu, odpowiadającym dokładnie akustyce sali; z miejsca tego fortepianu się nie rusza. Podczas gdy u nas ustawienie fortepianu na estradzie zależy zazwyczai od fantazji woźnych. którzy oczywiście nie mają pojęcia o warunkach akustycznych — w rezultacie sami pianiści nawet często nie wiedza, ile na tym traci brzmienie fortepianu.

Powracając do koncertu Rubinsteina, skonstatować należy, że Rubinstein posiada wielki ton, ogromna siłe w brzmieniu i kolosalna rutyne estradowa, co zasadniczo ułatwia pokonanie najoporniejszego mechanizmu fortepianowego. Jeżeli więc mimo to, nawet Rubinsteinowi mechanizm niejednokrotnie stawał na brzeszkodzie do jasności i precyzji — to jakżeż — tu oczekiwać prawidłowego pełnego brzmienia od innych mniej rytunowanych pianistów!

Toteż podziwiać trzeba, jak np. Marguerita Tranbini-Kazurowa zwycięsko wybrnęła z tego arcytrudnego zadania, nie mogąc przecież, jako kobieta, posiadać tak wielkiej siły fizycznej. Mimo trudności wynikłych z mechanizmu fortepianu, mimo to, że akompaniament orkiestry często pozostawiał wiele do życzenia z winy kapelmistrzu p. Zatorzewskiego, który widocznie nie był dość obznajmiony z partyturą — p. Kazurowa zagrała partię swoją w zawsze pięknym koncercie c-moll Rachmaninowa, ślicznie, kładąc główny nacisk na liryczne momenty dzieła.

III-im pianistą, który koncertował ostatnio w Filharmonii, jest p. Beveridge Webster, Amerykanin, którego. dotychczasowe występy zdobywały ogromny sukces.

Tym razem — być może z winy tego samego fortepianu — pianista nie osiągnał tak olśniewającego efektu, jak dawniej. P. Webster posiada kolosalną technikę w znaczeniu biegłości palcowej, lecz lewa ręka nieraz nie dawała potrzebnej plastyki rysunku, jak np. w obydwu etudach Chopina granych nad program. W granym z orkiestrą koncercie d-moll Brahmsa, w I-ej części, ustawiczna, a nieuzasadniona, zmiana tempa odbiegała od klasycznego stylu; pięknie wypadł tryl końcowy II-ej części, natomiast zbyt szybkie tempo III-ej części zatracało wyrazistość linii kontrapunktycznych.

Zarówno akademią ku czci Młynarskiego, jako też ostatnim koncertem, w kt. udział przyjmował p. Webster, dyrygował p. Mieczysław Mierzejewski, młody, a znakomicie wyrabiający się kapelmistrz. W obrębie tych dwuch koncertów, słyszeliśmy pod batutą Mierzejewskiego, prócz symfonii Młynarskiego i akompaniamentu do koncertów fortepianowych (wykonanych przez Rubinsteina i Webstera) IV-tą symfonię Brahmsa, zagraną z prawdziwym ogniem, a przy tym z wielką precyzją rytmiczną. „Przygody Sowizdrzała" Straussa oraz, jako nowość, uwerturę Antoniego Szałowskiego, napisaną z werwą i z doskonałym poczuciem brzmienia orkiestrowego.

* * *

Jeden z najznakomitszych wiolęczelistów współczesnych, Emanuel Feuerman, przypomniał publiczności warszawskiej swą sztukę odtwórczą najwyższej klasy, grając z orkiestrą 2 koncerty: Filipa Emanuela Bacha i Haydna. Na tymże koncercie poznaliśmy po raz pierwszy kapelmistrza holenderskiego p. Edwarda van Beinum. Prowadząc symfonię B-dur Mozarta i VII-a Beethovena, dyrygent zaprezentował się jako dobry technik i sympatyczna sylwetka muzyczna. Jeśli orkiestra nie zawsze szła dokładnie za intencja kapelmistrza, to usterki te nie miałyby miejsca, gdyby p. van Beinum bliżej zapoznał się z nasza orkiestra i z rodzajem kontaktu jaki jej odpowiada.

* * *

Fenomenalna dziewczynka Ida Hendlówna, wyrasta z cudownego dziecka na wielka skrzypaczke. Kształcąc sie obecnie u Flescha (najsławniejszego pedagoga skrzypcowego, kt. po przewrocie hitlerowskim przeniósł się z Berlina do Londynu), weszła w fazę, przekraczającą wszystko, czego można oczekiwać od 13-letniej dziewczynki. W recitalu (w Filharmonii) złożonym z najtrudniejszych dzieł skrzypcowych z „Ciaconną" Bacha, sonata F-dur Beethovena i „poème" Chausson'a na czele, wykazała mistrzostwo techniczne, spokój, powagę i umiejetność muzycznego skoncentrowania sie, godna prawdziwej artystki. Takiego prowadzenia polifonii w „Ciaconnie" Bacha, może młodocianej skrzypaczce pozazdrościć wielu sławnych artystów.

Nie można pominąć tu milczeniem znakomitego akompaniamentu prof. Ursteina, który towarzyszył skrzypaczce na fortepianie z właściwa sobie maestria, nadzwyczaj czujnie śledząc za jej intencjami

* * *

Na zakończenie jeszcze wspomnieć należy o wieczorze kompozytorskim p. Maksymiliana Centnerszwera, który odbył się w małej sali Filharmonii.

Na program złożyło się „6 miniatur" fortepianowych (w wyk. p. J. Kaleckiego), sekstet fortepianowy (wykonawcy: p. Nevowa, Zweig, Weithorn, Erlich, Eisenstadt i Fiszhaut), oraz 7 pieśni, odśpiewanych b. pięknie z głęb. wyrazem dramatycznym, głosem świeżym i dźwięcznym, przez p. Sabinę Szyfmanównę, przy akompaniamencie p. Fiszhauta.

KINO

„DYPLOMATYCZNA ŻONA"
APOLLO

Wiecznie powtarzany w polskich filmach efekt nieporozumień z zamiany jednych osób na drugie, doprawdy już się znudził. Tymbardziej, gdy intryga ujęta jest tak banalnie, tak płytko, a przede wszystkim tak niezabawnie, jak w „Dyplomatycznej żonie". Gdy spojrzymy na ten film poważnie — to przeraża nas on swoją niewiarygodną wprost płyciną — spojrzeć zaś na niego humorystycznie nie można, bo nie bardzo jest się z czego śmiać! Atmosfera tego filmu przypomina ckliwe melodramaty z ubiegłego stulecia; jest mąż - dyplomata, szanujący swoje nazwisko, jest żona, sławna aktorka, jest przyjaciółka - wamp, uwodzącą męża i jest „ten czwarty", ustępujący z drogi przyjaciel. Reżyseria i gra aktorów przypomina pierwsze filmy polskie. Mimo całej plejady nazwisk na afiszach, a wśród nich paru asów teatru — trudno wyłowić jakąś jaśniejszą plamę.

Jedynie Grossówna i Roszkowski mają parę lepszych momentów.

„NEW-YORK — SAN FRANCISKO"
IMPERIAL

Film „New-York — San Francisko" może służyć za wzór kulturalnie zrobionego filmu sensacyjnego. Posiadając wszystkie zalety filmu tego rodzaju, jak zręcznie przeprowadzoną intrygę, sprawną reżyserię, wartkie tempo, nastrój trzymający w ustawicznym napięciu — uniknął na szczęście tak częstej w tych wypadkach płytkości, a nawet pewnego rodzaju wulgarności. Efekt podróży samolotem wyzyskany był w całym swoim pięknie i atrakcyjności; szereg pięknych zdjeć z lotu podnosi wartość filmu. Film posiada parę scen naprawdę mocnych i wstrzymujących dech w piersiach n. p. scena lądowania na nieznanym terenie, burza, i t. d. Intryga, acz niezbyt skomplikowana — niebanalna i nie pozbawiona dowcipu (umyślne wprowadzanie w błąd widza przez nagromadzenie pozorów, aby potem wykazać, o ile prawda jest prostsza).

Gra Freda Mac Murraya — spokojna, opanowana, szlachetna pasowała go na prawdziwego lotnika ekranu.

T. S.

Alan Dane: ŁATWA EKONOMIKA. Przełożył W. Skrzywan. Ilustr. W.Bartoszewicza. Księżnica-Atlas. Lwów.— Warszawa. Str. 216.

„Łatwa ekonomika" A. Dane'a nosi w oryginale tytuł „Ekonomika dla chłopców i dziewcząt". Książka ta istotnie — bawiąc — wprowadza młodzież w świat myśli ekonomicznej. Przedmiot wykładu obejmuje zakres podręcznika ekonomii dla laików. Autor, ograniczając się do obserwacji najprostszych faktów gospodarczych. dostępnych młodzieży, wyprowadza podstawowe założenia teoretyczne ekonomiki współczesnej. Materiał jest rozdzielony na dwie główne części, obejmuiace ekonomię spożycia i wytwarzania. W obrebie **pierwszej** omawia autor zasady wartościowania, analizując gospodarowanie rodzin ich dochodami; w **drugiej** produkcje i kapitalizację na wyspie Robinsona, przechodząc następnie do zjawisk rynkowych wymiany i produkcji w „naszym zaludnionym świecie". Główny nacisk położony jest na wyprowadzenie syntezy naukowej z podstawowych faktów życia codziennego, stąd książka A. Dane'a, ucząc metody rozumowania ekonomicznego, łączącego, jak wiadomo, metodę indukcji i dedukcji, posiada niewątpliwie znaczenie ogólnokształcące obok zamierzonego i osiągniętego przez autora jasnego wykładu teorii ekonomiki. Czytelnik Dane'a, dzięki przystosowanemu do psychiki młodzieży, sposobowi wykładu uczy się rozumieć powikłania społeczno-gospodarcze, współczesnego świata; nabywa przy tym umiejętności myślenia o faktach życia codziennego, uwielokrotniając wartość swego zasobu doświadczenia. Książka Dane'a przygotowuje do życia realnego, uczy je rozumieć, tłumaczy jego trudności.

Prenumerata: miesięczna 1 zł. 20 gr., kwartalna 3 zł. 50 gr., za granicą kwartalna 5 zł.
Ceny ogłoszeń: za m/m za tekstem 80 gr., w tekście 1 zł. Strona zawiera 5 szpalt. Na stronę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.

Redaktor: Dr. M. KLEINBAUM · Wydawca: TOW. WYD. „STER" sp. z o. o. Redaktor odpowiedzialny: A. KLARMAN.

Druk. B-ci Wójcikiewicz. Warszawa